NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. | Kraków, 4 listopada 1911. | Nr. 44.

Na zdobytej pozycyi Turków.

(Treść na str. 2).



Nr. 44 „Nowości Illustrowanych“ zawiera: Romans arcyksięcia. — Walka o Trypolis. — Wystawa szkolna w Złoczowie. Pogrzeb ś. p. Stojało-skiego. — Ustąpienie komendanta krakowskiego korpusu. — Republika chińska. — Armia żółtego smoka. — Zasłużone odznaczenie. — Groźny objaw teroru w Warszawie. — Bandyta kandydatem na prezesa Polskiego Związku w Ameryce. — Samobójstwo inspektora kolejowego. — Wielki eksporter żywego towaru. — Niezwykłe zaślubiny.

Na zdobytej pozycyi Turków.

(Do illustracyi tytułowej).

Wojna w Trypolitanii dopiero teraz na dobre się rozpoczęła. Zażarte walki w polu zagrzmiały całem piekłem wojennem prędzej nawet, niż można było się spodziewać. Wojska tureckie i Arabowie nie czekali aż Włosi posuną się w głąb kraju i pierwsi przystąpili do szturmu na główne kwatery włoskie w miastach portowych: Trypolisie Benghazi i Dernie. Dniem i nocą wojska tureckie, wspomagane przez Arabów, urządzają podjazdy, podchodząc aż pod same bramy miast zajętych przez Włochów. Kryjąc się za budynkami i prowizorycznymi okopami — Turcy i Arabowie walczą z fanatyczną odwagą, która równoważy ich gorsze uzbrojenie. W najbliższej okolicy Trypolisu usadowiły się liczne oddziały tureckie i arabskie, które zasypują gradem kul główne pozycye Włochów w Trypolisie. Tych fanatycznych bojowników nie odstrasza nawet morderczy ogień pancerników włoskich... Chcąc uwolnić się z tego pierścienia, ziejącego ogniem, Włosi muszą urządzać krwawe wyprawy i zdobywać krok za krokiem pozycye nieprzyjacielskie. Ale „zwycięstwa“ te muszą drogo okupywać. Turcy i Arabowie, dziesiątkowani z dział szybkostrzelnych i karabinów maszynowych, muszą w końcu ustąpić, ale walczą z szalonem męstwem i zaścielają obficie pole walki trupami Włochów. Cofają się na pustynię, aby niebawem znów ponowić atak i wciągnąć wojska włoskie do nowej, krwawej bitwy...

Ilustracya nasza przedstawia właśnie taką zdobytą pozycyę wojsk tureckich pod Trypolisem. W ciągu kilku godzin Turcy i Arabowie, ukryci za okopami, razili karabinowym ogniem wojska włoskie, które z wielkimi stratami zdołały wreszcie wyprzeć swych przeciwników i opanować ich pozycyę. Żołnierze włoscy oglądają trofea swego „zwycięstwa“ — szczątki prowizorycznych fortyfikacyi i trupy. Nie mają jednak powodu do zbytnich tryumfów, bo za to zwycięstwo sami zapłacili setkami ofiar...

Romans arcyksięcia.

Panuje obecnie pogląd o zmateryalizowaniu czasów obecnych, w których coraz bardziej mają tracić wszelki walor w życiu realnem takie „przeżytki“ dawnych, romatycznych czasów, jak miłość i uczucie, zdolne do ofiar... Kłam tym poglądom zadaje znów świeża wiadomość z wiedeńskiego dworu cesarskiego. Po arcyksiążętach Janie Salwatorze i Leopoldzie Ferdynandzie, którzy dla poślubienia ukochanych kobiet wyrzekli się swych dostojeństw i rozpoczęli życie jako zwykli śmiertelnicy, pierwszy pod nazwiskiem Jana Ortha, (który zginął tragicznie na morzu), drugi jako Leopold Wöfling — przyszła obecnie kolej na arcyksięcia Ferdynanda



Romans arcyksięcia: Arcyksiążę Ferdynand Karol, który wyrzekł się wszystkich praw członka domu cesarskiego i poślubił pannę Czuberównę.

Karola, który przybrawszy nazwisko Burga, poślubił w tych dniach córkę profesora politechniki praskiej, pannę Czuberównę. Dla zawarcia tego związku arcyksiążę Ferdynand Karol, który jest bratem następcy tronu, musiał wyrzec się wszystkich dostojeństw i przywilejów członka domu cesarskiego: godności arcyksięcia, członka austryackiej Izby panów i węgierskiej Izby magnatów, tytułów, apanaży i t. p.

Arcyksiążę złożył również godność wojskową jenerał majora, a z polecenia cesarza ma być skreślony z listy armii.

Arcyksiążę poznał swą obecną małżonkę już przed 10 laty na jednym z balów w Wiedniu. Otrzymawszy następnie komendę brygady w Pradze, spotykał się tam z córką profesora coraz częściej, a w r. 1904 powziął już nieodwołalny zamiar poślubienia p. Czuberówny. Dopiero teraz jednakże udało się arcyksięciu uzyskać pozwolenie cesarskie na zawarcie ślubu, który odbył się w Szwajcaryi. W hotelu, w którym zatrzymali się nowożeńcy, młoda para zameldowała się na liście gości, jako: Ferdynand Burg wraz z małżonką.

Arcyksiążę Ferdynand Karol posiada stosunkowo niewielki majątek prywatny, składający się z kapitałów, zdeponowanych w jednym z banków wiedeńskich i z pałacu Rottenstein w Meranie. Cesarz Franciszek Józef wyznaczył mu też z swej prywatnej szkatuły apanaże w wysokości 40 000 koron rocznie.

W wiedeńskich kołach towarzyskich arcyksiążę cieszył się powszechną sympatyą. Jako gorący wielbiciel i mecenas sztuki, zdobył również wielkie uznanie i popularność w kołach artystycznych.

Walka o Trypolis.

Położenie armii włoskiej w Trypolisie staje się coraz bardziej krytycznem. Jest to niewątpliwie bardzo przykrą niespodzianką dla Włochów, którzy sądzili, że po wylądowaniu w miastach portowych stali się panami całego kraju. Ten optymizm włoski rozwiała jednakże bardzo rychło rzeczywistość... Łatwo przyszły Włochom zwycięstwa na morzu. Flota turecka, nieliczna, składająca się z okrętów starego typu i słabo uzbrojona (Ilustracya na str. 10 przedstawia właśnie działa na krążowniku tureckim) — nie mogła naturalnie stawić żadnego oporu eskadrze włoskiej. Również i portowe forty tureckie w Trypolisie, zaopatrzone w staroświeckie armaty, nie mogły wytrzymać morderczego ognia pancerników włoskich, uzbrojonych w dalekonośne działa. To też jeden za drugim padły w gruzach, rozsypane pociskami włoskimi. Najdłużej się trzymał w Trypolisie fort Sultanieh, względnie najlepiej uzbrojony, ale i ten, po kilkogodzinnem bombardowaniu został opuszczony przez wojska tureckie i dostał się w ręce Włochów.

Z chwilą jednakże, gdy Włosi jako „zwycięzcy“ stanęli na lądzie trypolitańskim — sytuacya wojenna zmieniła się dla nich bardzo niepomyślnie... Przedewszystkiem okazały się płonnemi nadzieje na pozyskanie tubylczej ludności arabskiej. Przeciwnie, wszystkie wiadomości stwierdzają, wbrew pierwotnym doniesieniom włoskim, iż ludność arabska Trypolisu i wszystkie szczepy muzułmańskie chwyciły za broń, aby walczyć po stronie Turków.



Walka o Trypolis: Przybycie jeńców tureckich do Caserty.

W dniu 25 b. m. Włosi przekonali się, jak płonne były ich nadzieje. Wojska tureckie, które cofnęły się podczas bombardowania w głąb kraju i uzbrojone szczepy beduińskie zaatakowały główny postój wojsk włoskich w Trypolisie. Najpierw kawalerya turecka wykonała demonstracyjny atak, poczem artylerya i piechota turecka przypuściły gwałtowny szturm na pozycye Włochów, którzy zostali zaskoczeni tym niespodziewa-

nym atakiem. Wywiązała się bitwa, która trwała przeszło 10 godzin. Po obu stronach straty miały być bardzo wielkie. Nawet źródła włoskie przyznają, że Włosi mieli w tej bitwie do tysiąca zabitych. Najbardziej jednak niepomyślnym dla Włochów był fakt, że gdy armia włoska wyruszyła w pole, aby odeprzeć atak wojsk tureckich, ludność arabska miasta Trypolisu, która miała „sprzyjać“ Włochom, zaatakowała z tyłu wojska włoskie, które z trudem i z wielkiemi stratami zdołały wyjść z tej podwójnej opresyi...

Za tę „zdradę“ Włosi srogo zemścili się na Arabach trypolitańskich. Każdego z nich, którego schwytano z bronią w ręku, stawiono przed sąd wojenny i natychmiast rozstrzelano. W jednym dniu stracono w ten sposób w mieście Trypolisie przeszło 200 ludzi. Wątpliwą jest tylko rzeczą, czy te barbarzyńskie represye zapewnią armii włoskiej pożądane bezpieczeństwo. Rozbudzą bowiem tem większy fanatyzm muzułmański, który może zgotować Włochom jeszcze przykrzejsze niespodzianki. Już dziś położenie ich w Trypolisie jest bardzo krytyczne... Arabowie w liczbie 60 000 stanęli gotowi do boju, a w Konstantynopolu budzi się coraz bardziej wojowniczy nastrój. Rząd turecki otrzymał votum zaufania od parlamentu pod tym jedynie warunkiem, że odeprze zbrojnie najazd włoski. Nastrój patryotyczny mas ludowych i wojska tureckiego przejawia się podczas każdego przejazdu sułtana do parlamentu. Taką manifestacyę przedstawia właśnie nasza illustracya: tłumy i wojsko oczekuje na sułtana i książąt, udających się do parlamentu, aby zamanifestować swą gotowość do walki z Włochami.

We Włoszech zrozumiano też trudności i niebezpieczeństwo trypolitańskiej wyprawy. Niebawem ma wyruszyć do Trypolisu drugi korpus okupacyjny, a na plac boju wysłane zostały nawet aeroplany do rekognoskowania sił nieprzyjacielskich. Illustracya nasza przedstawia właśnie wysyłkę tych powietrznych statków z portu neapolitańskiego.

Pomimo jednakże tych trudności Włosi nie tracą animuszu wojennego. Choć położenie ich armii w Trypolisie nie jest do pozazdroszczenia, pocieszają się, jak mogą... Zdobyli już przecie... jeńców, których wylądowanie w Casercie przedstawia jedna z naszych illustracyi.



Walka o Trypolis: Wojsko i tłumy, oczekujące na przejazd sułtana i książąt do parlamentu w Konstantynopolu.

Wystawa szkolna w Złoczowie.

Chwalebny przykład szerokiego pojmowania obowiązków szkolno-obywatelskich dał nam Złoczów. Z inicyatywy okręgowego inspektora szkolnego p. Mikołaja Niedźwieckiego, a dzięki staraniom miejsco-



Walka o Trypolis: Pogrzeb Araba, zastrzelonego w Trypolisie.



Walka o Trypolis: Wysyłka aeroplanów wojennych do Trypolisu z portu neapolitańskiego.

do potrzeb życia ludu wiejskiego, zdobione wzorami, opartymi na motywach wiejskich, ćwiczenia piśmienne i rysunkowe, wyroby zabawek z drzewa szkoły w Kulikach, okazy i urządzenie kuchni szkolnej pomysłu p. Demelówny, nauczycielki z Oleska, okazy owoców, wyhodowane w ogrodach szkolnych, oraz przeróbki owocowe, jak konfitury, soki, nalewki i wina owocowe, dalej warzywa i okazy drobiu i królików, hodowanych przez nauczycielstwo, wreszcie obrazy i rysunki, wykonane przez nauczycieli i nauczycielki, a ujawniające wiele niepoślednich talentów.

Przewodnią myślą wystawy był cel, aby szkoła ludowa prócz teoretycznego wykształcenia uwzględniała realne potrzeby ludności wiejskiej — cel, który zasługuje na jak najgorętsze poparcie i który w złoczowskiej wystawie szkolnej, dzięki chwalebnym usiłowaniom jej organizatorów, znalazł bardzo plastyczny i godny naśladowania wyraz.

wego nauczycielstwa, urządzono tam wystawę szkolną. Przy otwarciu był obecny prezydent Rady szkolnej krajowej dr. Dembowski, jak również radca szkolny Kawecki, dyr. Szydłowski i wiele innych osób ze sfer nauczycielskich, przybyłych z najdalszych stron Galicyi.

Od 13 do 22 b. m. setki osób przesunęły się po 10 salach wystawowych, podziwiając gustowność dekoracyi i przepiękne okazy, wśród których znajdowały się roboty ręczne szkoły wydziałowej, wyszywane na aksamicie, pluszu, jedwabiu i t. p., roboty ręczne kobiecych szkół wiejskich, zastosowane



Wystawa szkolna w Złoczowie: Komitet wystawowy, złożony z grona nauczycielskiego.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

8)

— Tomaszu, jak śmiesz?... Chciałabym wiedzieć kto cię tego nauczył? Powiedziałabym mu w oczy, co o nim myślę!

— Nauczył mnie stryj — rzekł Tomcio z miną niewiniątka.

Po takiej odpowiedzi zaległa w pokoju głucha i przykra cisza, którą przerwałem, prosząc o pozwolenie odejścia. W prośbie mojej znalazła ciotka środek pozbycia się swego prześladowcy.

— Tomaszu, możesz pójść z Kasprem do Lantrig. Trochę ruchu przyda ci się bardzo.

— Możeby mi się i przydał, stryjenko, lecz...

— Nie rezonuj, tylko idź! Jak ci się zdaje, gdzie pójdą mali chłopcy, poddający się nałogowemu próżniactwu?

— Spać — mruknął pod nosem Tomek.

— Za taką odpowiedź dziś jeszcze wieczorem, nim się położysz do łóżka, nauczysz się na pamięć całego poematu doktora Watts o lenistwie.

Po tych słowach Tomasz, nie kwapiąc się zbytecznie, wstał powoli z miejsca, wziął swoją czapeczkę, leżącą na krzesełku, stanął naprzeciw ciotki Elżbiety i uroczystym głosem recytować zaczął melancholijny poemat. Gdy doszedł do ostatniego wiersza, zbliżył się do drzwi, ukłonił się poważnie i wyszedł. Przejęty podziwem, ruszyłem za nim.

Dotąd straszny niepokój o mateczkę tak całkowicie myśl moją zaprzątał, że wszystko co i o czem mówiono, zająć mnie nie mogło, lecz wobec niezwykłego i niespodziewanego popisu pamięciowego Tomasza, uznałem za właściwe złożyć mu moje powinszowanie.

— Ba! — odparł — tyle razy czytała mi cały poemat, że musiałem nauczyć go się na pamięć mimowoli. Nienawidzę doktora Wattsa, a spać lubię. Miewam takie sny śliczne! Sądzę, że stokroć przyjemniej jest spać niż czuwać. Nieprawdaż?

Tym razem i ja zgodziłem się na wypowiedziane przez niego zdanie, bo po dwóch nocach bezsennych upadałem ze znużenia.

— Takie śliczne sny miewam, gdy śpię — powtórzył Tomcio z przekonaniem — a rzeczywistość w życiu wydaje mi się okropnie nudna i smutna. Gdyby przynajmniej spotykały mnie jakieś nadzwyczajne przygody...

Przygody nadzwyczajne, w ciągu dwu ostatnich nocy, tak strasznie dały mi się we znaki, że mil czałem.

Doszliśmy już właśnie do gościńca. Posłyszałem za sobą turkot kół, więc się obróciłem. Zbliżał się do nas lekki kabryolet z jedną tylko siedzącą w nim osobą. Gdy powożący zrównał się z nami, zawołał:

— Hola, malcy! czy to jest droga wiodąca do Polkimbra?

Był to niskiego wzrostu jegomość, o krótko przystrzyżonych, szpakowatych włosach, wyglądający na marynarza, z twarzą poczciwą i rumianemi ustami, na których igrał uśmiech dobroduszny. Powoził fatalnie.

Odpowiedziałem mu, że gościniec, po którym jedzie, jest właśnie najbliższą drogą.

— Czy i wy żeglujecie do tego samego portu? Jeśli tak, to siadajcie. Przetrzęsę was trochę.

Spojrzałem na Tomka. Naturalnie gotów był na wszystko, co oszczędzało mu fatygi. Więc wsiedliśmy do kabryoletu. Gdyśmy ujechali kilkanaście metrów, szpakowaty jegomość zwrócił się do nas:

— Jak słyszałem, rozbił się tu wczoraj na waszem wybrzeżu jakiś statek, poczem odbyło się śledztwo, na którem wygłoszono całą furę kłamstw...

Drgnąłem całem ciałem.

On nie spostrzegł tego i mówił dalej:

— Może i wy słyszeliście coś o tem? Na naszym głupim świecie niejeden kłamać lubi, lecz nie spotyka się codziennie tak bezczelnego łgarza, jak ów drab... Jakże się on zowie?... Niech mnie porwą dyabli, jeśli rozumiem dlaczego kłamał, lecz że kłamał, to ja na to włożę rękę w ogień...

Słuchałem pilnie. On zaś zdawał się mówić ra czej do siebie, niż do nas.

— Nadzwyczajny łgarz!... Chociaż, pytam się siebie, do czego kłamstwo posłużyć mu miało, bo z tego nie zdaję sobie sprawy zupełnie. Statek „James i Elżbieta", o którym bajał, jest zdrów i cały, a twardy jak żelazo. A jednak, daję słowo, że człowiek, który wiadomość o jego rozbiciu przyniósł do Folmuth, nie miał miny człowieka, strojącego żarty. Nie znał mnie nawet, więc był dyablo zdziwiony, gdy się oburzyłem. „Jak tu żyw jestem — zapewniał — że ów drab mówił o Jamsie i Elżbiecie". Chłopcze! czy nie wiesz przypadkiem, jak zwał się statek, który w ciągu przedostatniej nocy krążył około waszego wybrzeża?

Już się poniekąd przyzwyczaiłem do strasznego, kilkakrotnie zadawanego mi pytania, więc ile tylko mogłem, najśmielej odpowiedziałem:

— Proszę pana, „James i Elżbieta".

— A nazwisko jego kapitana?

— Antoniusz Merrydew.

— Biedaczysko! Leżał podobno chory w swojej kabinie, gdy statek się rozbijał, nieprawdaż? Była z nim również jego żona... i dziecko, które urodziło się w czasie podróży. Zasłabł w zatoce Biskajskiej, jak pierwszy lepszy lądowy ciemięga, nieprawdaż? Daję słowo, istna komedya, a nawet, niech mnie dyabli porwą, milion razy ciekawsza od tych, które grywają w teatrach!

Mówiąc to wybuchnął głośnym śmiechem i walił się dłonią po udach, aż cała twarz poczciwa oblała mu się ponsem.

— Co myślisz o tem, mój mały? Hę! cudowna krotochwila! Czy kto słyszał coś podobnego?! Kapitan Antoniusz Merrydew zachorował w zatoce Biskajskiej! Ho, ho! Nie znam zabawniejszej farsy!

— Więc, proszę pana, czy w tem wszystkiem nie było prawdy?

— Prawdy?! A niechże cię Bóg ma w swojej opiece, moje dziecko! Spojrzyj mi w oczy. Proszę cię bardzo, spojrzyj mi w oczy, a potem zapytaj znowu, czy to była prawda?

— Nie rozumiem dlaczegoby nie miała być...

— Bo ja właśnie jestem kapitem Antoniuszem Merrydew.

Wobec tego oświadczenia, milczałem już w ciągu całej dalszej drogi.

Tom, siedzący przy mnie, wydawał się tym razem całkiem rozbudzony, przekonany był bowiem, że teraz nareszcie czeka go jakaś przygoda. Ja zaś, niestety, czułem się ogarnięty przez znużenie i senność. Wysłuchałem wprawdzie reszty opowiadania kapitana, lecz z powodu owej senności nie dobrze je zrozumiałem. Dowiedziałem się tylko, że po szybkiej podróży z Ceylonu do Folmuth, na statku „James i Elżbieta" przybył on w sam czas, by usłyszeć, jak mówiono o potwornem kłamstwie, które go oburzyło, bo nietylko nie był żonaty, lecz nigdy w życiu nie chorował. Aby wyświetlić podejrzaną, a może i złowróżbną historyę, postanowił udać się do Polkimbra i w tym celu wynajął konia i kabryolet. Przyczem twierdził, że koń jest najbardziej upartem stworzeniem wśród wszystkich stworzeń, a kabryolet najniewygodniejszym środkiem lokomocyi. Wszystko to zaś wygłaszał przy akompaniamencie przeróżnych przekleństw i licznych wykrzykników.

Prawdopodobnie słyszałem całe opowiadanie, bo pamięć odtworzyła mi je później, lecz w danej chwili odbijało się o moje uszy, bez wywoływania silniejszego wrażenia. Ostatnie wypadki obu nocy grozą swoją wypełniały mój mózg biedny, tańcząc w nim jakąś straszną, piekielną sarabandę.

Nakoniec po „lawirowaniu" dość długiem, „wylądowaliśmy" w Polkimbra, „zarzucając" ostatecznie „kotwicę" przed karczmą. Tam obaj z Tomaszem zeskoczyliśmy z kabryoletu i podziękowawszy uprzejmie kapitanowi, pozostawiliśmy go gestykulującego zawzięcie i wołającego krzykliwie na parobka, uwijającego się po stajni, żeby przyszedł wyprządz konia. Wesoły głos jego rozlegał się donośnie. Słyszeliśmy go jeszcze, gdyśmy dochodzili już do wybrzeża.

Postanowiliśmy skrócić sobie drogę i dostać się do Lantrig, idąc pod ścianami skał, sterczących nad zatoką Gotowych Pieniędzy. Zatoka budziła w umyśle moim okropne wspomnienia; sam nie ośmieliłbym udać się tamtędy, lecz obecność Tomasza dodawała mi odwagi.

Tom był stokroć raźniejszy i znacznie bardziej ożywiony niż zwykle. Stał się nawet rozmowny. Wychwalał kapitana, podziwiał każde słowo przez niego wyrzeczone i oświadczył mi wesoło, że czuje jakąś przygodę w powietrzu. Wyprostował się, wzniósł głowę w górę i poruszał nozdrzami, jakby zapowiedź czegoś nadzwyczajnego drażniła istotnie jego powonienie.

Tak, niestety, czekała nas przygoda, lecz jakże smutna i bolesna dla mego biednego serca!

Myśl o matce, pozostawionej w domu w stanie opłakanego rozstroju, nie pozwalała mi podzielać zapału miłego towarzysza. Więc, gdy on, rozgorączkowany nadzieją, przemawiał wesoło, ja chmurny i smutny, ledwie się wlokłem po piasku wybrzeża.

Było już blisko południa. Ciepły dzień październikowy wydawał się niemal dniem letnim. Słońce uśmiechało się pogodnie nad ziemią i morzem. Lekki wiaterek pędził ku wschodowi kilka wełnistych obłoków, a fale tańczyły i szemrały pod jego podmuchem. Słony ich zapach drażnił węch, a refleksy ozłoconego słonecznemi promieniami piasku, raziły nam oczy. Jedna tylko Skała Umarłego, jak zawsze ponura i czarna, rysowała się ostremi konturami smutnie na jasnem tle nieba. Ptactwo morskie krążyło wokoło jej szczytu.

Coś poruszało się u jej stóp.

O ile zdaleka dostrzedz mogłem, gromadka ludzi stała nad wodą. Zbliżywszy się nieco, zdołałem rozróżnić ich kształty, lecz nie widziałem, co robili, zbici bowiem w kółeczko, z oczami zwróconemi na jakiś przedmiot, leżący pomiędzy nimi, zasłaniali go sobą przed moim wzrokiem. Po chwili jednak wyciągnęli się w prostej linii podwójnym szeregiem, jak gdyby chcieli skierować kroki ku tunelowi, wiodącemu do zatoki Gotowych Pieniędzy. Nieśli coś widocznie i co moment pochylali się nad tem. Co to było, rozpoznać nie mogłem z odległości. Chód ich był bardzo powolny. Już prawie zniknąć mieli w tunelu, gdy poznałem wśród nich pokraczną postać Józefa Roscorli. Wołając nań po imieniu, poskoczyłem za nim.

Na dźwięk mego głosu Józef zadrżał, odwrócił się i zatrzymał chwilkę. Poczem, szepnąwszy coś do sąsiada, idącego obok niego najbliżej, podbiegł do mnie. Gdy się zbliżył, spostrzegłem że jest bardzo blady i mocno zakłopotany. Lecz przymusił się do uśmiechu i przemówił pierwszy:

— Co to Kasper robi w tych stronach?

— Wracam do domu. Czy wujaszek Loveday widział mamę? Czy mateczka ma się lepiej?

— Tak, tak... widział. Pani jest znacznie spokojniejsza. Nie ulega wątpliwości, że opieka doktora sprawi jej wiele dobrego. Lecz na co ty wracasz? Póki matka jest w tym dyablim stanie, niema potrzeby, żebyś siedział przy niej. Idź rozerwać się trochę.

— Powiedz, Joe, coście tam robili pod Skałą Umarłego?

Józef zawahał się chwilkę, mruknął coś, czego nie dosłyszałem, a potem powiedział głośno:

— Nic.

— Ależ, Joe, robiliście coś, widziałem. Co nieśliście w stronę zatoki Gotowych Pieniędzy?

— Słuchaj mnie, mój chłopcze, idź się bawić i nie zadawaj niepotrzebnych pytań. Dzieci w twoim wieku nie powinny być zbyt ciekawe. Przypominam sobie teraz, że doktor powiedział, iż masz pozostać w Lizard, bo malcy zbędni są przy osobie chorej. Zatem, ruszaj nazad czemprędzej!

Głos Józefa drżał w niezwykły sposób, a całe jego zachowanie się względem mnie było tak niezrozumiałe, że nie zdziwiłem się wcale, gdy Tom rzekł spokojnie:

— Kłamiesz, Joe!

Józef był według przekonania wszystkich uosobienieniem prawdomówności, to też sądziłem, że wybuchnie gwałtownym gniewem. Osłupiałem. Nie zwrócił nawet uwagi na obelgę i rzekł znowu do mnie:

— Kasper, mój dobry chłopcze, umykaj jak najspieszniej z powrotem.

Ton głosu jego był błagalny. Owładnęło mną nagle przygnębiające podejrzenie.

— Joe, czy coś... Powiedz mi, czy mamie nie stało się coś złego?

— Nie, nie!... na pewno nie! Wkrótce będzie zdrowszą, jeśli ją pozostawisz w spokoju.

— W takim razie muszę się zobaczyć z wujem i dowiedzieć się od niego, czy w istocie mam wrócić.

Ruszyłem naprzód, lecz Józef pochwycił mnie za ramię.

— Słuchaj, Kasper, nie idź tam! Wracaj, mówię ci, wracaj! Powiadam stanowczo, że potrzeba, żebyś wrócił.

Przemawiał tonem tak rozkazującym, że odwróciłem się, żeby mu spojrzeć w twarz. Jakiś dziwny wyraz, który dostrzegłem w jego oczach, napełnił serce moje chorobliwą obawą.

— Powiedz, Joe, coście nieśli?

Nie odpowiedział.

— Joe, co to było?

— Idź precz — wyszeptał stłumionym głosem. — Idź stąd precz!

— Nie odejdę, dopóki nie zobaczę, coście nieśli.

— Idź precz, mały!... Na miłość Boską, powtarzam, idź sobie stąd precz!

Objął mnie obu ramionami i widocznie chciał pociągnąć, czy też popchnąć w powrotną drogę ku Polkimbra.

Wyrwałem mu się z objęć i poleciałem przed siebie, jak strzała wypuszczona z łuku. Józef i To-

masz biegli za mną, lecz nerwowe rozdrażnienie i lęk nerwowy zdawały we mnie siły i zdawały się przypinać mi skrzydła. Słyszałem zdyszany głos Józefa, wołający za mną:

— Stój! poczekaj!

Lecz niepokój, dźwięczący w jego głosie, sprawił właśnie, że biegłem jeszcze prędzej. Wpadłem nareszcie do tunelu. W połowie skalnego korytarza dostrzegłem już przedtem z oddalenia widzianych rybaków, postępujących procesyonalnym krokiem.

Na mój krzyk zatrzymali się na miejscu, jak wryci. Paru ludzi oderwało się od gromadki i poskoczyło, aby mnie zatrzymać. Wyśliznąłem się im z rąk; postąpiłem naprzód... i ujrzałem... Boże! ulituj się nademną... zwłoki mego ojca.

Padłem przy nich na ziemię.

Z niemal kobiecą tkliwością podnieśli mnie, otrzeźwili i ze łzami, perlącemi się w ich dobrych oczach, starali się pocieszać. Poczem, z oznakami najgłębszego szacunku dla tego, którego znali od dziecka i kochali szczerze, ruszyli z jego ciałem do Lantrig. Józef Roscorla wziął mnie na ręce i przycisnąwszy do piersi, niósł prawie nieprzytomnego, postępując powoli krok w krok za nimi.

Gdy odsunęli rygle, na które drzwi wchodowe były zamknięte i gdy przekraczali próg starego dworu, rozległ się nagle okropny śmiech, mrożący krew w sercach słuchaczów.

Tak powitany został mój ojciec, po swym powrocie do ogniska rodzinnego.

Lecz nie na tem koniec. Bo gdy wuj z matki pokoju wyszedł do nas, zamknięte przez niego drzwi, rozwarły się nagle na rozścież i ukazała się w nich mateczka cała w bieli. Z szałem w oczach, rzuciła się na zwłoki, uklękła przy nich, ucałowała skostniałe ręce i zsiniałe lica zmarłego, starając się zimne ciało rozgrzać czułemi pieszczotami, nie przestając przytem niezrozumiale szeptać dziwnych jakichś wyrazów i śmiać się równocześnie tak tkliwym tonem, że śmiech jej mógł wzbudzić litość nawet w sercu szatana.

W ten sposób — ja sądzę — tu jeszcze na ziemi porozumiały się ich dusze, wielką miłością z sobą złączone na wieczność.

ROZDZIAŁ VII.

Odkrycie wuja Loveday. Co zawierało w sobie pudełko cynowe.

W godzinę potem siedziałem u wezgłowia umierającej matki.

Wstrząśnienie wywołane okropnem spotkaniem, przywróciło jej zmysły i sprowadziło śmierć. Wkrótce po odzyskaniu rozumu uciekło z niej życie. Blada i spokojna spoczywała na łóżku, nic nie mówiąc. W oczach jej wyczytać można było wyrok śmierci, wydany przez przeznaczenie: ja zaś czytałem w nich nadto — co straszniejszem mi się zdawało — wyrzut czuły, lecz nieustanny. Żywot ludzki pełen jest nieporozumień, rzadko kiedy jednakże zaznać można rozpaczliwsze. Cóżbym mógł jej teraz powiedzieć? I cóżby ona zrozumiała z tego, cobym jej powiedział? Już zapóźno! „Zapóźno, zapóźno!“ Treść tego słowa udręczała mnie, gdy wschodzące słońce, przeciskając promienie swoje przez szpary zamkniętych okiennic, oświecało jej drogie oblicze. I później prześladowała mnie ona często. Prześladowałaby może jeszcze i teraz, gdybym dziś nie był pewny, że nareszcie wie prawdę.

Konała cicho, bo skon był końcem jej oczekiwania. Ukochany mąż, za którym tak bardzo tęskniła, myśląc ciągle o jego powrocie, powrócił przecie. Powrócił po wielu smutkach i zawodach, wprawdzie umarłym, lecz dlatego połączyć się już z nim mogła na wieki.

Mnie, choćby tylko ze względu na mój wiek dziecięcy, wydawało się to okrutnem i niesprawiedliwem. Obecnie wiem, że śmierć jest bardzo miłosierną, nawet gdy się wydaje bezlitosną; lecz wówczas, siedząc przy niej i patrząc jak ukochana odchodzi odemnie, pojąć nie mogłem tej prawdy.

Blade promienie jesiennego słońca ślizgały się po jej postaci, oświetlając ją cudnie; potem gasły, a ona wciąż leżała prawie nieruchoma jak posąg. Tętna przy jej dłoniach słabły powoli... powoli. Serce rozdarte, biło cicho, czekając bez walki na wieczny odpoczynek. Smutne jej oczy, zawsze piękne, zdawały się jednak wołać, pytać i o coś błagać, bez nadziei otrzymania wyjaśnień lub odpowiedzi. Takiemi były, gdy poczciwi rybacy odrywali ją od zwłok, które okrywała pocałunkami; takiemi pozostały aż do chwili, w której sen ostatni zamknął jej powieki. Patrzeć w nie, było rzeczą nader bolesną.

Ciało mego ojca spoczywało w pokoju parterowym. Czuwali przy niem pani Rusvargus i wuj Loveday. Od czasu do czasu wsuwał się on pocichu do sypialni na pierwszem piętrze i równie cicho schodził na dół, bez promyka nadziei na twarzy. A zegar ścienny tykotał ciągle, jakby mierzył kroki czarnego archanioła, podchodzącego do łoża umierającej coraz bliżej, coraz bliżej.

Dwa razy rozwarły się wargi mateczki, jakby przemówić chciała, lecz — chociaż pochyliłem się nad nią, aby pochwycić w lot choć słówko — nie mogłem nic usłyszeć.



O ile zdaleka dostrzec mogłem, gromadka ludzi stała nad wodą.

Wpatrując się w jej twarz woskowej bladości, wszystkie słodkie wspomnienia przesunęły się przed oczami duszy mojej w smutnym pochodzie. Widzę nas oboje, siedzących przy płonącem ognisku i czytających razem. To znowu stoimy na szczycie skały w Pedu Glas, radujemy wzrok wspaniałością letniego słońca i szukamy na morzu „statku ojczulka“. Innym razem w kościele, w Polkimbra, modlimy się na klęczkach, by powrócił do nas szczęśliwie. Innym razem... Niestety! już nigdy, nigdy więcej!...

Wuj zbliżył się na palcach i przyglądał się mateczce bacznie. Poczem zwrócił się do mnie i zapytał:

— Czy przemówiła?

— Nie.

Już wychodził, gdy jej usta rozwarły się znowu i tym razem szepnęły:

— Wraca, wraca! Cicho! to jego kroki.

W czarnych źrenicach malowało się oczekiwanie, na bladych policzkach zajaśniała nadzieja zaziemskiem jakiemś światłem. Pochyliłem się nad nią znowu, bo głos jej brzmiał bardzo słabo.

— Wiem, że wraca. Słuchajcie! O, mój ukochany, przystąp do mnie bliżej!

O, moja święta, niestety kroki, które słyszysz, tętnią tylko echem w twojej duszy, wyrywającej się do tego, który stanął u wrót niebieskich!

— Otóż on! Mężu mój najdroższy, przyszedłeś, żeby mnie zabrać z sobą!

Usiadła z wyciągniętemi rękami i promieniejącem obliczem. Poczem zachwiała się i w tył pochyliła, a ramiona, które ją pochwyciły w swe objęcia, były chyba ramionami aniołów.

* * *

Gdy pomimo zgnębienia, wywołanego brzemieniem podwójnej żałoby, względnie uspokoiłem się nieco, wuj Loveday kazał mi się położyć i siłą sugestyi zmusił poniekąd do zaśnięcia. Ogromny smutek, przejmujący mnie na wskróś, sprawił, że sen mój był nadzwyczajnie ciężki i nie nawiedzony żadnemi wizyami, ciało bowiem wzruszeniami i czuwaniem wyczerpane, zapanowało nad duchem.

Zbudziłem się dopiero o dziesiątej zrana i ujrzałem przy mojem łóżku siedzącego wujaszka.

Słońce świeciło na pogodnem niebie, a świat cały zdawał się tak spokojny i szczęśliwy, że bezmyślnie wyskoczyć chciałem z pościeli i biedz według zwyczaju do pokoju matki. Lecz oczy moje spotkały się ze wzrokiem wuja i cała grobowa rzeczywistość zmartwychwstała nagle w moim mózgu. Z głuchym jękiem upadłem na poduszki.

Wuj Loveday, który przypatrywał mi się pilnie, powstał z krzesła i wziął mnie za rękę.

— Kasprze, mój drogi chłopcze, jakże się czujesz? — zapytał.

Po krótkiej walce wewnętrznej, zapanowałem nad bólem serca i rzekłem:

— Dobrze.

— Tem lepiej, moje dziecko. Świadczy to, że chcesz być mężczyzną, a męstwa potrzebować będziesz do wysłuchania tego, co ci mam powiedzieć. Jestem, jak wiesz, lekarzem... a nauczony życiowem doświadczeniem, sądzę, że rozkładanie przykrych wrażeń na raty, nazwać należy złą i fałszywą metodą. Najlepiej dowiedzieć się o najcięższych zmartwieniach odrazu, aby, wzbudziwszy w sobie całą moc ducha, odważnie stawić im czoło. Otóż, mój kochany chłopcze, chociaż dzięki Bogu, część cierpienia, jaka ci przypadła w udziale, jest jak dotąd wcale niemała, musisz usłyszeć coś jeszcze, co ją znacznie powiększy. Jeśli zaś jesteś tem, za co cię mam, to jest dzieckiem nad wiek rozwiniętem i posiadającem niezwykłą siłę charakteru, stokroć lepiej, że się dowiesz o wszystkiem natychmiast.

Panując o ile mogłem nad nerwami, zastanawiałem się: jakim będzie ów nowy cios, który ma mnie dosięgnąć jeszcze. Usiadłem na łożku i nie bez lęku i trwogi spojrzałem na wuja.

— Wszakże, jak mniemam, przekonany jesteś, że ojciec twój się utopił?

— Tak, wujaszku.

— Otóż, mój drogi, on nie utonął.

— Nie utonął?

— Nie, Kasprze... został zabity.

Ostatnie słowa, wymówione powoli i uroczyście — nie bacząc na bolesne wrażenie, jakie wywołały w pierwszej chwili — rozjaśniły w umyśle moim nagle całą niemal istotną treść zdarzeń, z których dotąd nie zdawałem sobie należytej sprawy. Oto dlaczego na obu obcych ludziach nazwisko moje wywołało tak silne wrażenie! Oto dlaczego, gdyśmy siedzieli na Skale Umarłego, oczy Johna Railton unikały spotkania z mojemi! Oto dlaczego jego zabójca, z tak nadzwyczajnem uniesieniem i gwałtownym wysiłkiem pochwycił mnie za ramiona, gdy nad zatoką Gotowych Pieniędzy dowiedział się, jakie noszę nazwisko!

Słowa wujaszka rzucały cały snop światła na zagadkowe wypadki dni ostatnich w taki sposób, że niemal z góry odgadłem, co mi odpowie, na zadane mu zaraz potem pytanie.

— Zabity?! Lecz jak?

— Zamordowany!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogrzeb ś. p. ks. Stojałowskiego.

W dniu 26 b. m. złożono w Krakowie na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. ks. Stanisława Stojałowskiego. Obrzęd pogrzebowy rozpoczął się o g. 8 ej rano w domu Tow. św. Rafała, gdzie spoczywała trumna ze zwłokami. Przed domem zgromadził się szereg deputacyi włościańskich z różnych powiatów kraju, górnicy z Jaworzna w mundurach, wielu posłów i liczny tłum publiczności. Po wyniesieniu trumny z małej izdebki, w której oddał ostatnie tchnienie pierwszy pionier sprawy ludowej w Galicyi, zabrał głos przed domem żałoby p. Antoni Doerman, wiceprezes Tow. emigracyjnego św. Rafała i pożegnał zmarłego imieniem tego Tow., którego założycielem i prezesem był ś. p. ks. Stojałowski.

Następnie kondukt pogrzebowy, poprzedzany przez deputacye włościan z wieńcami i prowadzony przez ks. Kulinowskiego, ruszył do pobliskiego kościoła św. Floryana, gdzie trumnę ustawiono na katafalku. Kościół zapełnił się niebawem publicznością i duchowieństwem, którego zjawiło się na obrzęd pogrzebowy bardzo wielka liczba. Przy wszystkich ołtarzach rozpoczęły się Msze święte, poczem wygłosił przemówienie ks. Kopyciński. Po odprawieniu modłów żałobnych już po godz. 11-ej wyruszył kondukt pogrzebowy na cmentarz. Żałobny pochód otwierali delegaci włościańscy z wieńcami i sokoli z Białej. Trumnę, poprzedzaną przez liczny zastęp duchowieństwa, nieśli robotnicy i włościanie, a za trumną postępował zbity tłum uczestników żałobnego obrzędu. Na cmentarzu, przed złożeniem trumny do grobu przemawiali pos. Zamorski, prof. Grabski, b. poseł Szajer, pos. Witos imieniem klubu ludowców oraz przedstawiciele robotników i włościan.



Pogrzeb ś. p. ks. Stojałowskiego: Wyniesienie trumny z domu Tow. św. Rafała, gdzie zmarł ś. p. ks. Stanisław Stojałowski.

Ustąpienie komendanta krakowskiego korpusu.

Od kilku miesięcy było publiczną tajemnicą ustąpienie komendanta krakowskiego korpusu, jenerała zbrojmistrza bar. Weigla, nikt jednak nie przypuszczał, że nastąpi ono tak szybko. Przed kilku tygodniami, gdy rozchodziło się o nominacyę wspólnego ministra wojny, wymieniano pomiędzy innymi i barona Weigla, jako jednego z poważnych kandydatów. Stało się zupełnie inaczej. Następcą Schönaicha został jenerał Auffenberg, baron Weigl przechodzi zaś w „dobrze zasłużony“ stan spoczynku.

Być może, że dymisya bar. Weigla stoi w bezpośrednim związku z tą zmianą w naczelnem kierownictwie wspólnej armii, niemniej jednak pewnem jest, że sfery decydujące nie były z niego zadowolone i uznały, że nie dorósł do tak odpowiedzialnego i trudnego stanowiska.

Komendant krakowskiego korpusu różnił się dyametralnie od swych poprzedników, którzy wszelkiemi siłami starali się o utrzymanie dobrych stosunków i bezpośredniej łączności z cywilnem społeczeństwem, odgrodził się od niego chińskim murem i odnosił prawie wrogo w stosunku do każdego, kto nie miał na sobie munduru ze złotemi gwiazdkami. Tradycya barona Alboriego w dziwnej sprzeczności stoi do obecnych stosunków w garnizonie krakowskim.

Jeśli się doda do tego jeszcze, że baron Weigl nie cieszył się wcale sympatyą i pośród jeneralicyi, a także, jak się dziś pokazuje, nie uchodził za zbyt genialnego strategika, nie zdziwi nikogo, że ustępuje, choć nie ukończył jeszcze przepisanych lat służby i cieszy się najlepszem zdrowiem i humorem.

Korpus krakowski i krakowska publiczność żegna ustępującego bez żalu. Między nami czuł się nieswojsko, może gdzieindziej będzie mu wygodniej. Jako pensyonista będzie mógł znaleźć wiele czasu na rozpamiętywanie przeszłości i może przecież przyjdzie do przekonania, że i na najwyższem stanowisku potrzebny jest koniecznie takt i wyrozumiałość.

Jako następców bar. Weigla wymieniają marszałków polnych — poruczników: Kolossvary'ego, Pflanzera lub Böhm Ermolli'ego. Sukcesya po poprzedniku nie będzie dla nich zbyt miłą, dużo czasu będzie potrzeba na naprawę tego, co tak rychło się zepsuło!



Pogrzeb ś. p. ks. Stojałowskiego: Kondukt pogrzebowy w ulicy Lubicz.



Ustąpienie komendanta krakowskiego korpusu: Jenerał-zbrojmistrz Józef bar. Weigl, przechodzący w stały stan spoczynku.

Republika chińska.

W Chinach dokonywa się obecnie wielki przewrót, który nie tylko w Azyi, ale dla stosunków politycznych całego świata może mieć dziejowe znaczenie. Olbrzymie to państwo, liczące przeszło 400 milionów ludności, stoi w płomieniach rewolucyi, która postawiła sobie za cel nie tylko zrzucenie znienawidzonej dynastyi mandżurskiej, ale przedewszystkiem zreformowanie państwa Niebieskiego, zmartwiałego dotychczas w swych odwiecznych formach — według wzorów cywilizacyi europejskiej. Chiny w tej akcyi reformatorskiej idą niewątpliwie za przykładem Japonii, która po wchłonięciu w siebie pierwiastków cywilizacyi europejskiej, w krótkim stosunkowo czasie doszła do takiej potęgi, z którą i Europa musi się liczyć.



Republika chińska: Widok miasta Hankou.

Lecz Japonia, to małe państewko w porównaniu z Chinami. Gdy ten olbrzym zbudzi się naprawdę i wyzyska swe siły, śpiące w masach czterysta-milionowego z górą narodu chińskiego, „żółte niebezpieczeństwo" może istotnie stać się groźnem dla Europy.

Wprawdzie Chiny już niejednokrotnie były widownią krwawej wojny domowej, ale obecna rewolucya, prowadzona przez ludzi z europejskiem wykształceniem pod hasłem zeuropeizowania Chin za przykładem Japonii, przybrała rozmiary niebywałe.

Ruch powstańczy w Chinach ogarnął już całą środkową część państwa, wszystkie prowincye, leżące nad największą rzeką Jang-tse-kiangiem, która przecina całe państwo z zachodu na wschód i która jest najważniejszą arteryą komunikacyjną państwa Niebieskiego. Rzeka ta bowiem, po której mogą krążyć nawet statki morskie, łączy najdalej wysunięte na Zachód wgłąb Azyi prowincye z wybrzeżem morskiem. To też właśnie przy tej rzece leżą najbardziej handlowe i przemysłowe miasta, jak: Hankou, Hanjang, Wuczang, Iczang i wiele innych. Wszystkie te miasta, jak również całe porzecze Jang-tse-kiangu znajdują się w rękach rewolucyonistów, którzy proklamowali tam „republikę chińską".

Cele obecnej rewolucyi w Chinach, obwieszcza rozrzucana po całem państwie proklamacya do narodu i armii. Zwraca się ona na wstępie przeciw Mandżurom, którzy przed 250 z górą laty opanowali Chiny i osadzili na tronie swą dynastyę. „Wydajemy Mandżurom wojnę — powiada proklamacya — nie zdołają nam się oprzeć. Nas jest 400 milionów, ich tylko 4, a pomimo to tworzą oni stan uprzywilejowany, choć nie mają ani handlu, ani rolnictwa. Musimy wygnać Mandżurów, którzy uciskają Chiny i poniżają rdzenną ludność chińską".



Republika chińska: Stara pagoda w Hankou.

Następnie proklamacya zapewnia, że „Chiny otrzymają konstytucyę demokratyczną i będą zamienione na republikę z prezydentem na czele, który będzie wybierany przez lud".

W innej proklamacyi rewolucyoniści już imieniem „rządu wojskowego republiki chińskiej" zwracają się do obcych mocarstw i zapewniają, że nowy rząd uszanuje wszystkie prawa i przywileje innych państw i cudzoziemców.

Zapewnienia te, jak dotychczas, nie są czczą obietnicą. W przeciwieństwie do poprzednich wybuchów rewolucyjnych w państwie Niebieskiem powstańcy otaczają obecnie troskliwą opieką Europejczyków, strzegąc ich życia i mienia. Nawet podczas najkrwawszych walk, oszczędzano dzielnice europejskie, które dotychczas w tej rewolucyjnej pożodze nic a nic nie ucierpiały. Świadczy to o silnej organizacyi rewolucyjnej, która rozszerza się — biorąc pod uwagę olbrzymie przestrzenie państwa chińskiego — wprost z błyskawiczną szybkością. Gdy rewolucyoniści opanują jeszcze dwie sąsiednie prowincye Szantung i Szansi, będą mieli otwartą drogę do Pekinu, gdzie już teraz rząd chiński znajduje się w położeniu niezmiernie trudnem.

Przedewszystkiem skarb państwa jest pusty i rządowi pekińskiemu brak zupełnie środków na formowanie i utrzymanie oddziałów wojskowych. A tymczasem, aby utrzymać się przy władzy, musi on prowadzić formalną wojnę z prowincyami środkowych Chin, gdzie rewolucyoniści są panami położenia i rozporządzają wyćwiczonemi po europejsku wojskami. To też z Pekinu nadchodzą coraz bardziej alarmujące wieści. Rozeszły się nawet nie sprawdzone pogłoski o zamordowaniu ministra wojny i uprowadzeniu cesarza chińskiego Pu Yi. Ten „władca" 400-milionowego państwa liczy, jak wiadomo, zaledwie 4 lata życia, a regencyę sprawuje jego ojciec ks. Czun.

Choćby jednakże wieści te były tylko fantazyą korespondentów — nie ulega wątpliwości, że położenie dynastyi i rządu mandżurskiego w Chinach staje się coraz bardziej krytycznem. Nawet ostatnia nadzieja dworu chińskiego, mianowany wicekrólem zbuntowanych prowincyi Juan-Szi-kaj, zrzekł się proponowanej mu misyi. Widocznie i ten „chiński Bismarck" nie wierzył już w zwycięstwo rządu.



Republika chińska: Statek żaglowy na Jang-tse-kiangu.

Armia żółtego smoka.

Armia chińska do niedawna nie miała żadnego znaczenia militarnego. Był to zbiór najrozmaitszej hałastry, uzbrojonej bardzo prymitywnie i nie posiadającej żadnej dyscypliny. Wojsko to mogło co najwyżej odgrywać jakąś rolę w walce z nieuzbrojonym motłochem, nie mogło jednak zmierzyć się z żadną europejską armią. Już sam ubiór dawnych żołnierzy chińskich wskazywał na ich niezdolność bojową. Olbrzymie kapelusze słomkowe, trąby i niesione przed oddziałami wielkie żółte smoki (herb państwa Niebieskiego) wszystko to nadawało tej szczególnej armii operetkowy charakter.



Armia żółtego smoka: Oddział piechoty chińskiej w pochodzie.

W ostatnich dopiero czasach Chiny, jednocześnie z innemi reformami przystąpiły do radykalnego zreformowania swej armii. Misyę tę powierzono głośnemu Juan Szi-Kajowi, który w roku 1895 utworzył oddział wojska z 5.000 żołnierzy, oddanych pod komendę oficerów zagranicznych, przeważnie niemieckich. On też jest twórcą obecnej, zorganizowanej i wyszkolonej na wzór europejski armii chińskiej. Rozpoczęte przez Juan-Szi-Kaja reformy postępowały bardzo szybko. W r. 1903 ustanowiono specyalną komisyę reorganizacyi armii, a w r. 1906 ukazał się edykt cesarski, nakazujący utworzenie w ciągu 6 lat, t. j. do 1912 roku, 36 dywizyj wyćwiczonej na sposób europejski armii. Naturalnie ten program nowoczesnego uzbrojenia Chin został tylko w części wykonany. W każdym jednak razie państwo chińskie w krótkim stosunkowo czasie zdobyło już armię według współczesnych wymagań militarnych, liczącą już przeszło 200.000 ludzi. Również sztab oficerski, wykształcony w państwach zagranicznych, jest dość liczny. Najwięcej oficerów (około 1.000) pobierało studya wojskowe w Japonii, inni odbywali służbę wojskową w Niemczech, we Francyi, w Belgii, a nawet w Ameryce.

Uzbrojenie armii jest także różnorodne. Artylerya składa się z dział Krupa oraz japońskich, francuskich, angielskich, a nawet duńskich. Tak samo chaotyczne jest uzbrojenie piechoty, dla której sprowadzano karabiny ze wszystkich niemal krajów europejskich. Świadczy to o tym zwykłym pośpiechu, z jakim Chiny przeprowadzały uzbrojenie swej nowoczesnej armii.



Armia żółtego smoka: Oficer chiński.



Armia żółtego smoka: Chiński oficer sztabowy.

Zreorganizowana armia chińska, jak się okazało, nie była zbyt pewną podporą rządu chińskiego. Właśnie te oddziały wojska, które zostały zreformowane na sposób europejski, bądź od razu wzięły udział w ruchu rewolucyjnym, bądź przeszły na stronę powstańców...

Rząd mandżurski pozostał w ten sposób bez armii, którą zreformował i uzbroił przeciwko sobie.

Zasłużone odznaczenie.

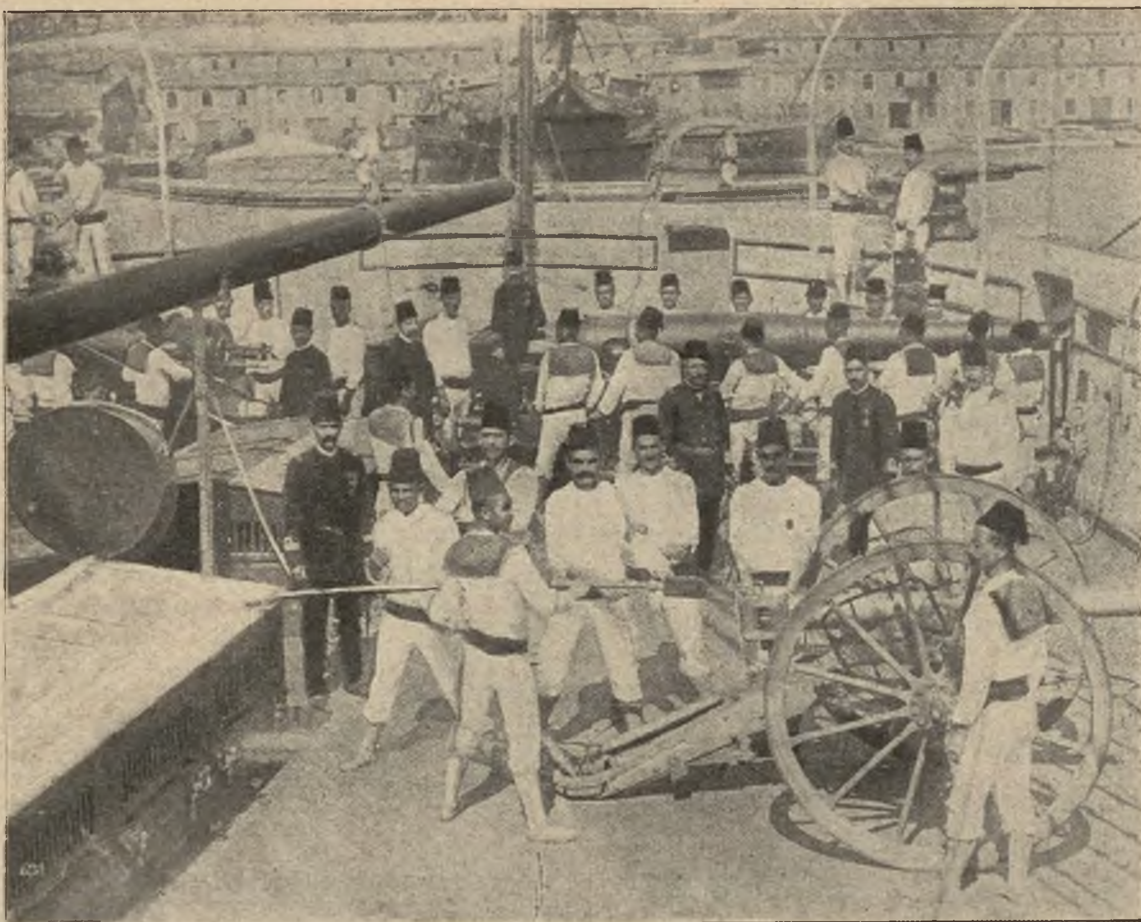
Najwyższem postanowieniem polecił cesarz Franciszek Józef wyrazić komendantowi krakowskiego oddziału c. i k. straży wojskowo-policyjnej, kapitanowi Wacławowi Kalikowi, swe zadowolenie w uzna-



Republika chińska: Małoletni cesarz chiński Pu-Ji (po prawej stronie) z rejentem ks. Czunem.



Republika chińska: Zwłoki straconego rewolucyonisty po odcięciu głowy.



Walka o Trypolis: Artylerya na krążowniku tureckim



Zasłużone odznaczenie: Komendant krakowskiego oddziału straży wojskowo-policyjnej, c. i k. kapitan Wacław Kalik.

niu nadzwyczaj gorliwego spełniania obowiązków służbowych.

Kapitan Kalik pozostaje na tem trudnem i odpowiedzialnem stanowisku od roku 1903. Taktownem i prawdziwie obywatelskiem postępowaniem zdobył sobie uznanie władz przełożonych i krakowskiej publiczności, a co najważniejsze, miłość i przywiązanie swych podwładnych, którzy widzą w nim nie tylko swego komendanta, ale i prawdziwego swego opiekuna.

Głównie też na wykształcenie swych podwładnych położył kapitan Kalik największy nacisk, pod jego kierownictwem podnosi się z każdym dniem poziom intelligencyi krakowskiej straży wojskowo policyjnej, a jeśli są jeszcze jakieś braki, wywołujące niezadowolenie, jest to tylko koniecznem następstwem przestarzałych przepisów.

Dbając o porządek i zdrowie żołnierzy, dążył komedant do pomieszczenia ich w jednym, odpowiadającym, celowi budynku. Po długich i mozolnych staraniach udało mu się uzyskać zezwolenie ministerstwa na wynajęcie „pałacu Puszeta“ przy ul. Starowiślnej, gdzie skoncentrowano cały oddział pieszy, rozrzucony dotąd po różnych stronach miasta.

Jako przełożony, odznacza się kapitan Kalik szczególną wyrozumiałością i taktem, umiejąc zaś pogodzić obowiązki oficera z obywatelskiemi, utrzymuje jak najlepsze stosunki i z cywilną publicznością, pośród której potrafił zyskać sobie zasłużone uznanie i sympatyę.

To też zaszczytne odznaczenie kapitana Kalika przyjęte zostało z ogólnem zadowoleniem.

Niezwykłe zaślubiny.

W tych dniach odbyły się w Warszawie niezwykłe zaślubiny. Dwie rodziny zadzierzgnęły węzeł małżeński dwoma ślubami. Jednego dnia w kościele pp. Wizytek w Warszawie odbyła się uroczystość zaślubin między panną Maryą Olszewską, córką pana Adama, radcy Tow. Kredyt. Ziemskiego w Radomiu, właściciela Janikowa pod Kozienicami, a p. Beyzymem, obywatelem ziemskim z Podola. Nazajutrz zaś odbyła się uroczystość zaślubin między ojcem panny młodej, p. Adamem Olszewskim a siostra wczorajszego pana młodego, panną Beyzymówną. W ten sposób więc teść został szwagrem swego zięcia, a siostra została teściową swego brata...

Illustracya nasza przedstawia właśnie obie pary państwa młodych w otoczeniu gości weselnych.



Niezwykłe zaślubiny: Dwie pary zaślubione w otoczeniu gości weselnych: 1) p. Adam Olszewski (pan młody i ojciec panny młodej), 2) p-na Olszewska, 3) p. Beyzym (pan młody i brat panny młodej), 4) p-na Beyzymówna.

KAMIL PERT

Dramat w domu obłąkanych

15 Powieść.

Zasadzkę nocną usunięto z programu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, Marceli nie odbędzie już powtórnej wycieczki do groty w parku. Ponieważ zaś urzędnicy sądowi i policyjni uważali za konieczne znaleźć się wcześnie na miejscu, postanowiono przepędzić noc w domu zdrowia, lecz pod warunkiem, że prócz wtajemniczonych paru osób, nikt nie zdoła odgadnąć ich obecności w zakładzie. Wysłano więc pannę Helenę do pani Lucas, aby przygotowała sypialnie i urządziła się w taki sposób, aby można było wprowadzić całe grono, nie zwracając uwagi personalu zakładowego na tak liczne wtargnięcie, oraz nie budząc obawy w tych, którzy nie powinni byli wiedzieć o groźnem dla nich sąsiedztwie.

O północy więc weszli wszyscy pocichu i zajęli przygotowane dla siebie pokoje. W istocie, dla całego domu, prócz klucznicy, przybycie ich pokryte było zupełną tajemnicą. Usunięto zręcznie służbę stróżującą, a złożoną obecnie z Eugeniusza, który od śmierci Mikołaja spełniał obowiązki odźwiernego, i z dwóch innych dozorców. Otóż tym ostatnim pozwolono przespać się spokojnie w izdebkach trzeciego piętra, na co zgodzili się z niekłamanem zadowoleniem, tak, że jeden tylko Eugeniusz czuwał przy bramie, gdy przez nią wchodzili sądownicy.

Nazajutrz zaś rano, panna Helena miała rozpocząć zapowiedzianą działalność...

ROZDZIAŁ XII.

Pojedynek kobiet.

Na odgłos lekkiego stuknięcia do drzwi, Julia Manescault, cierpiąca na nieustanne rozdrażnienie nerwów, zadrżała całem ciałem.

— Proszę wejść! — zawołała.

Z pewnym rodzajem ulgi i uspokojenia ujrzała wchodzącą do pokoju Ludwikę Sempuis, jedyną osobę w zakładzie, z którą czuła się bezpieczną i w której dobrem sercu pokładała ufność zupełną. Młoda kobieta leżała na sofie, ustawionej przy oknie i zdawała się śmiertelnie znużoną. Kłopoty i zmartwienia zaznaczyły na jej pięknej twarzy swe okrutne ślady. Była bardzo blada, oczy jej otaczały szerokie, sine koła, a budowa ciała, już przedtem drobna i wątła, przedstawiała się obecnie znacznie szczuplejszą.

— Co się znowu stało? — zapytała przelękniona, spostrzegłszy w oczach swojej powiernicy wyraz oburzenia.

Ludwika zbliżyła się do sofy szybko.

— Och, pani! Ta kobieta! ta klucznica!... Okropność, co ona, niegodziwa, ośmiela się mówić o pani i o panu Marcelim!... Proszę mi wybaczyć, że nie zważając na należne z mojej strony dla pani uszanowanie, powiem szczerze: jaka szkoda, że pani nie wypędziła jej z domu natychmiast!... Od razu trzeba było wydalić precz do szczętu osób, które teraz, jak dzikie bestye szarpią panią złośliwymi językami i kują najwstrętniejsze plotki!

Pani Manescault poruszyła się ledwie, z oznakami wielkiego zmęczenia.

— Odprawić panią Lucas?... Odprawiłabym niezawodnie, gdybym pierwszej chwili usłuchała wewnętrznego przekonania, wskazującego mi ją jako mego najzaciętszego wroga, zwłaszcza, iż wiedziałam, że jeszcze za życia mego męża, spiskowała przeciw mnie nieustannie. Wobec jednak bezładu i rozstroju, jakie wynikłyby niezawodnie po jej oddaleniu, musiałam tę złą kobietę zatrzymać. Pomyśl tylko, Ludwiko, jak trudną i kłopotliwą jest administracya wewnętrzna takiego jak nasz zakładu!

— Ech! proszę pani, czy tylko jedna pani Lucas potrafi być dobrą klucznicą!

— Niezawodnie, nie... Lecz osoba, znająca się nawet na rzeczy, nie zdołałaby nagle, z dnia na dzień, wprządz się w jarzmo tej specyalnie miejscowej, codziennej, obowiązkowej roboty... a ani ty, ani ja, nie potrafiłybyśmy pomódz jej skutecznie. Byłam zawsze obcą zarządowi domu... a obecnie, z powodu udręczeń, jakiemi mam serce przepełnione, nie mogłabym za nic w świecie zająć się nim na seryo. Wiem zaś, że pani Lucas, pomimo wielu wad, jest czynną, pracowitą i doświadczoną gospodynią. Pan Manescault cenił ją bardzo!

— Zła, jak dyablica!...

— To możliwe, lecz chciej mi wierzyć, że nie łatwo jest kierować taką bandą sług i oficyalistów, jak nasi ludzie... i umieć przytem zaopatrzyć tylu chorych we wszystkie potrzeby. Chcemy ten dom sprzedać, lecz do chwili, w której będziemy mogli go się pozbyć, trzeba przecie utrzymać go w porządku. Pozbawiony nadzoru i opieki, mógłby szwankować i utracić klientelę.

— Gdybym jednak była na miejscu pani, wolałabym ponieść nie wiem jakie straty, aniżeli trzymać u siebie i opłacać istotę tak zuchwałą i złośliwą, jak ta... istotę, ośmielającą się przyjmować w domu nieprzyjaciół pani... istotę, która swoich chlebodawców obrzuca najsromotniejszemi obelgami... i to wobec licznych słuchaczów!

Coraz bardziej zachmurzona Julia zapytała:

— Co chcesz przez to powiedzieć?... Co słyszałaś?

— Powiadam, proszę pani, że w tej chwili pani Lucas raczy i podejmuje najbezczelniej w swoim niby salonie kobietę, która tyle złego o pani nagadała i która tak zażarcie sprzeciwiała się jej małżeństwu.. siostrę pana Manescault. Bóg wie, co nie wyplatają obie z tą damą... Powtarzają rzeczy ohydne i oszczerstwa, ubliżające srodze czci pani i pana Marcelego.

Na twarzy pani Manescault odmalowało się cierpienie.

— Co chcesz, żebym uczyniła?! Trzeba przebyć czas próby!... Mam nadzieję, że wszystko, co dotyczy zgonu pana Manescault, wkrótce się wyjaśni, a mój brat i ja odzyskamy władze myśli i czynu, które nam pozwolą zająć się uregulowaniem naszych moralnych i materyalnych interesów...

Ludwika poruszyła głową i rzekła ze wzruszeniem:

— Niech pani nie myśli, że chciałam udręczać panią naprożno. Bóg mi świadkiem, jak szczerze pragnęłabym oszczędzić pani najlżejszej przykrości, muszę jednak panią uprzedzić... żebyś mogła zawiadomić pana Marcelego.

Julia załamała ręce z wyrazem przestrachu na twarzy.

— Mój Boże! cóż się znowu stało?... Czyż nie zniosłam już dosyć!

Wydawała się tak słabą, tak pognębioną, że Ludwika zawahała się, czy ma mówić i poruszyć przedmiot tak bardzo przykry i drażliwy. Jak powiedzieć, że oskarżano Marcelego głośno o zamordowanie szwagra i Amerykanina?

Właśnie w tej chwili ktoś do drzwi zapukał. Zanim Julia zdołała wymówić „proszę wejść", już podwoje, popchnięte ręką z zewnątrz, rozwarły się, a w nich ukazała się Marya, nowo przyjęta pokojówka.

Pani Manescault podniosła się nieco i powiedziała z nieukrywanem niezadowoleniem:

— Czego chcesz, Maryo? Jestem zajęta.

Lecz z wielkiem dla Julii zdziwieniem, pokojówka nie zwróciła uwagi na jej słowa i szła ku niej śmiało i z powagą, nie mającą nic wspólnego ze zwykłem służbistem nadskakiwaniem i uległością.

— Proszę mi wybaczyć, lecz muszę z panią pomówić — odpowiedziała głosem, który wydał się pani Manescault dziwnie zmienionym.

— Powiedziałam, że jestem zajęta! — powtórzyła Julia rozdrażniona. — Pomówisz ze mną później!

Marya, a raczej Helena, poruszyła głową.

— Nie! proszę pani. Później, byłoby zapóźno — wygłosiła dobitnie i z naciskiem, który wywarł na Julii silne wrażenie.

Poczem dodała, ciągle śmiało i poważnie:

— Chciej, proszę bardzo, oddalić panią Sempuis. To, co mam powiedzieć, tylko pani sama wysłuchać może!

Było coś tak zatrważającego w zachowaniu się i tonie głosu tej dziwnej pokojówki, że pani Manescault, jakby wbrew woli szepnęła, zwracając się do żony Mikołaja:

— Odejdź, moja Ludwiko. Przyjdziesz za godzinę.

Polecenie, chociaż wymówione szeptem, było stanowcze, więc Ludwika usłuchała rozkazu. Wychodząc jednak zmierzyła Helenę wzrokiem, pełnym oburzenia, którego ta już nie spostrzegła, tak była zajęta panią Manescault, z której nie spuszczała oczu ani na chwilę.

Zaledwie pozostały same, rzekła z uszanowaniem i uprzejmie:

— Pozwoli pani, że wobec niej odzyskam właściwy moim obowiązkom charakter. Nie jestem pokojówką, lecz ajentką policyi tajnej, którą pan Guillaume tu umieścił w celu wykrycia morderców, za sprawą których zostałaś pani wdową.

Pani Manescault zadrżała. Oczy jej ze zdziwieniem i nieufnością spoczęły na młodej kobiecie.

— Ach! więc należysz... do policyi?

— Tak... i mam do zakomunikowania pani bardzo ważne wiadomości.

Pani Manescault wskazała na krzesło, stojące obok.

— Niech panna usiędzie... Proszę mówić, słucham panią.

Helena wzięła krzesło i przysunęła je jak tylko można było najbliżej sofy. Poczem rzekła po cichu, lecz dobitnie i wyraźnie:

— Wszakże pani wie, że część papierów wartościowych, skradzionych panu Laborda, znaleziono w walizce, należącej do Mikołaja Sempuis?...

Julia wtrąciła spiesznie:

— Co świadczy o winie tego człowieka...

Panna Helena zaprzeczyła poruszeniem głowy.

— To nie jest dowód nie ulegający wątpliwości...

Pani Manescault przerwała znowu:

— Nie widzę bardziej przekonywającego!

Helena milczała chwilkę, poczem rzekła:

— Niestety!... Cóż pani powie, gdy ją zawiadomię, że jej brat, pan Marceli Robertin, przechowywał czas jakiś u siebie większą część akcyi, zabranych panu Laborda?

Okropny lęk odmalował się w oczach Julii. Pochwyciła skurczonymi palcami wystającą z pod wysłania sofy poręcz drewnianą i usiadła.

— Co pani mówi? — wyjąkała prawie nieprzytomna.

Panna Helena zaś ciągnęła dalej:

— Na nieszczęście, jest obecnie faktem stwierdzonym, że pan Marceli w osiem dni po spełnieniu zbrodni, zakopał w parku plik papierów publicznych, na sumę miliona franków...

Julia przerwała jej mowę krzykiem, pełnym boleści i oburzenia.

— To nieprawda!... To fałsz!... To być nie może!

Panna Helena stanowczem skinieniem głowy potwierdziła słowa, wyrzeczone przed chwilą.

Pani Manescault na to skinienie odpowiedziała gestem, wyrażającym straszliwą rozpacz.

— Wasze dowody są niewystarczające, niedorzeczne! Trzeba zapytać mego brata, on wytłómaczy... Przywołam go!

Panna Helena poruszyła głową.

— Pan Marceli nie przyjdzie. Zamknięty w swoim pokoju, udaje chorego.

Julia krzyknęła z oburzeniem:

— Nie wiem, co tem podejrzeniem chcesz pani dać do zrozumienia!... Mój brat cierpi rzeczywiście na ból głowy!... Lecz, gdy go wezwę, odpowie, przyjdzie i mówić będzie!...

Chciała się podnieść, żeby biedz do drzwi, lecz ajentka ją zatrzymała.

— Błagam panią, chciej mnie wysłuchać do końca! Nie wołaj jeszcze swego brata, jeśli pragniesz go ocalić!

Julia upadła na sofę, a panna Helena, wydobywając papier z kieszeni, rzekła spokojnym tonem:

— Racz przeczytać list do pani pisany, który pan Marceli ma zamiar tu pozostawić, przed swoim wyjazdem do Ameryki.

Pani Manescault zawołała z niezmiernym niepokojem:

— Chce wyjechać?... On?... To nieprawda!... To być nie może!... Dlaczego?... Dlaczego miałby wyjechać?

— Ażeby uniknąć dochodzeń, które czuje, że mu zagrażają.

Julia wyprostowała się i z nadzwyczajną gwałtownością wyrzuciła z ust:

— To nieprawda!... Kłamiesz pani!... Chcesz, abym o nim wątpiła!... To próba! to podstęp!... Lecz ja oszukać się nie dam!... Znam mego brata!... Niema nic... nic nie może mieć na sumieniu!

Helena wsunęła jej list do ręki.

— Proszę przeczytać. To list pana Robertina do niej pisany, a który jutro miałaś pani znaleźć w jego pokoju.

Słowa, wymówione z prostotą i szczerością wywarły na pani Manescault wrażenie. Umilkła i zwolna zaczęła czytać. Przy ustępie, w którym młody człowiek napisał, że nie zdoła się usprawiedliwić z obecnych zarzutów, drgnęła całem ciałem, a ręce jej trzęsły się tak, że o mało nie wypuściła z rąk papieru. Oczy jej zaszły mgłą.

Pannie Helenie zdawało się, że zemdleje. Lecz osłabienie Julii szybko minęło. Odważnie czytała list dalej, już teraz powoli i z uwagą, zastanawiając się nad każdem słowem. Gdy skończyła czytanie, ręka jej, ściskająca w dłoni zmięty papier, opadła wzdłuż ciała. Podniosła oczy, pełne przerażenia i niepokoju na pannę Helenę.

— Zatem — rzekła, zaciskając zęby — to napisał mój brat?

— Tak, pani. Zapewniam cię najsolenniej.

— No! — mówiła dalej urywanym i drżącym głosem — rozumiem teraz pani naleganie i podejrzenia... Tak! obcy ludzie mogą łatwo omylić się, czytając te wyrazy, a on, pisząc je, był bardzo nieoględny!... Człowiek niewinny, nie powinien nigdy wobec niebezpieczeństwa ratować się ucieczką. Tym sposobem bowiem uprawnia wiarę w fałszywe domniemania...

— Lecz pani — zawołała żwawo panna Helena — pani nie wierzy w przestępstwo swego brata?

Julia wyprostowała się i powstała.

— Nie! — krzyknęła z energią. — Nie! nie wierzę, aby mógł tak strasznie zawinić!... Nigdy w to nie uwierzę!... Jedna i ta sama krew płynie w naszych żyłach; spędziliśmy życie razem, połączeni najszczerszą miłością; znam myśli i duszę mego brata, tak, jak własną!... Mamy wady i ułomności, lecz tak on, jak i ja, niezdolni jesteśmy popełnić zbrodni!... Ręka jego nie zmazała się krwią bliźniego!... Serce jego nie zgodziłoby się nigdy na morderstwo, albo na spólnictwo w morderstwie... Nietylko, że mój brat nie zabił dla ułatwienia sobie kradzieży, lecz nawet nie skorzystał ze zbrodni spólników... Marceli jest niewinny!

Upadła nagle na siedzenie złamana, wyczerpana z sił — i kryjąc twarz w poduszkach sofy, wybuchnęła łkaniem, boleśnie rozdzierającem jej piersi.

— Och, mój Boże! jakże nieszczęśliwi jesteśmy!

Panna Helena, nieruchoma, zimna jak lód, zupełnie panująca nad sobą, przypatrywała się jej z badawczą ciekawością.

— To kobieta zupełnie szczera — myślała w duszy. — Czytać w jej sercu można, jak w otwartej książce. Jeśli choć cień podejrzenia zdołam wpoić w jej umysł, skłonię ją łatwo do uczynienia zadość memu żądaniu.

Gdy osądziła, że gwałtowność przesilenia, w jakie popadła pani Manescault, zmniejszać się zaczynała, położyła delikatnie rękę na ramieniu młodej kobiety.

— Uspokój się pani — rzekła. — Trzeba być silną, chcąc działać. Musisz pani ułatwić swemu bratu możność usprawiedliwienia się, jeśli jest niewinnym rzeczywiście.

Pani Manescault powstała, otarła łzy, usiłując zapanować nad wzruszeniem.

— Tak! Masz słuszność... Trzeba go ocalić!... O, mój Boże! lecz co począć?... Widzi pani, on obawia się, że nie zdoła wykazać prawdy!... Coś go oskarża, z czego on sam... jak sądzę... nie zdaje sobie sprawy...

Panna Helena przerwała:

— Powiedziałam już pani, o co chodzi. Jakim sposobem się stało, nie wiem... dość jednak, iż jest rzeczą pewną, że pan Robertin miał czas jakiś w swoich rękach za milion franków akcyi, skradzionych panu Laborda... Jest również stwierdzonem, że o fakcie tym nie zawiadomił nikogo, i że te papiery zakopał w parku, ukrywając się przytem sam, jak mógł najstaranniej.

Nieco spokoju wstępowało w serce Julii. Uważnie słuchała opowiadającej.

— Jeśli to, co pani mówi, jest prawdą — rzekła z przekonaniem — to zdaje mi się, że ktoś, pragnący go obwinić, musiał złożyć u niego te kompromitujące papiery!...

— Jednakże, nie wspomina o tem w swoim liście.

— Widocznie lękał się, aby kto inny, prócz mnie, listu jego nie przeczytał. Widzi pani, że obawia się szpiegów... Mnie jednak ustnie wytłómaczyłby wszystko!... Chodź pani ze mną, poszukamy go... przemówi, a słowa jego rozproszą wszelkie nieporozumienia...

Panna Helena zarzuciła:

— Nie będzie mieć do mnie ufności... Ujrzawszy mnie zamilknie. W każdym razie, nawet ja sama mogłabym nie uwierzyć w szczerość jego zeznania. Zeznanie takie wtedy tylko mogłoby mieć znaczenie, gdyby mniemał, że go słucha tylko pani jedna.

— A więc staniesz pod drzwiami jego pokoju... On pani widzieć nie będzie... Zacznę go wypytywać, a pani wysłuchasz jego odpowiedzi... Och! jestem zupełnie pewna, że potwierdzi moje przekonanie!... Ręczę, że jest niewinny!... Zwierzy mi się ze wszystkiego, co tylko wie o tych dziwnych wypadkach... Chodź pani!...

Panna Helena odmówiła.

— Wszystko to, proszę pani, nie osiągnęłoby pożądanego celu... Moje świadectwo nie byłoby wystarczającem... Ażeby to, co chcesz przedsięwziąć, miało doniosłość, musiałabyś zgodzić się na mój pomysł, który właśnie przed chwilą pragnęłam przedstawić pani.

— Jaki?

— Ażebym przyprowadziła jednego z sędziów, któryby wysłuchał zeznań usprawiedliwiających brata pani.

Pani Manescault cofnęła się przejęta trwogą.

— Zeznań?... Jednego z sędziów?

Panna Helena, z właściwem sobie wrodzonem zuchwalstwem, zaryzykowała ostatnie natarcie:

— Tak, pani! Jeśli brat jej zawinił, jeśli masz choćby najlżejszą wątpliwość co do jego niewinności, wyrzeknij się swego zamiaru, bo pan Marceli będzie zgubiony!... Lecz, jeśli przeciwnie, pewną jesteś



— Nie jestem pokojówką, lecz agentką policyi tajnej...

jego niewinności, wyjdzie z tej ostatecznej próby wolny od wszelkich podejrzeń!...

Pani Manescault rzekła z widoczną nieufnością:

— Jednego sędziego... powiedziałaś pani? Ależ tu niema żadnego!

— Przepraszam — odparła panna Helena bez wahania. — Przywiodłam tu pana Deverrier, sędziego śledczego i pana komisarza Guillaume... Zapewniłam ich, że się pani zgodzi na tę próbę.

— Skąd mogłaś wiedzieć, że się zgodzę?

— Jestem tak, jak pani kobietą, i wiem, że gdy kobieta kogo kocha i pokłada w nim ufność, po bohatersku zmaga się z niebezpieczeństwem. Powiedziałam już i powtarzam: jeśli brat pani winien, będzie zgubiony. Jeśli nie winien, ocalisz go!

Rodzaj fanatycznego uniesienia zabłysł w oczach Julii.

— Zgadzam się — rzekła drżącym głosem — bo wiem, że nie winien!

Panna Helena otworzyła drzwi z pośpiechem.

— Chodźmy więc do niego!

— Lecz ci, co podsłuchiwać mają?

— Nie myśl pani o nich!... Pytaj brata tak, jakbyś rzeczywiście była z nim sam na sam. Wmów w siebie, jeśli możesz, że istotnie nikt was nie słucha!

Julia, na znak, że działa z głęboką pewnością, machnęła ręką energicznie.

— Chodźmy!

ROZDZIAŁ XIII.

Co mówił Marceli Robertin?

Pani Manescault dobiegła spiesznym krokiem do drzwi pokoju brata. Zapukała mocno i krzyknęła głosem, w którym pomimo silnego postanowienia, dźwięczało jeszcze równocześnie i wielkie pomieszanie i straszny niepokój.

— Otwórz!... Muszę z tobą pomówić!... Chodzi tu o twoje i moje życie!... Otwórz!

Rozległ się odgłos kroków, drzwi się rozwarły, a na progu ukazał się Marceli blady i wynędzniały.

— Czego chcesz odemnie? — mruknął tonem zakłopotanym.

Pani Manescault instynktownie spojrzała za siebie. Panna Helena zniknęła.

— Chcę z tobą pomówić — rzekła Julia zdyszana, zdławionym głosem.

I weszła do pokoju. Panowała w nim prawie ciemność, firanki bowiem były zsunięte. Marceli drzwi zamknął. Julia pomyślała z niepokojem, a jednocześnie z pewną ulgą:

— Mój Boże! Niema tych ludzi, którzy mieli przysłuchiwać się jego zeznaniom!

Podbiegła do brata i objęła go ramionami.

— Marceli! Mój Marcelku ukochany! Powiedz mi wszystko! Chcesz wyjechać?

On się cofnął i rzekł z mocnem wzruszeniem:

— Wiesz o tem?

— Wiem wszystko!... A raczej wiem tylko coś nie coś... i dlatego udręczam się okropnie!... Wszakże lękasz się obwinienia o morderstwo?

Skinął głową potakująco.

— Tak!... O, gdybyś wiedziała, jak myśl o możliwem oskarżeniu przygniata mnie strasznym ciężarem!...

— Wiem!

— Ależ nie!

— Przeciwnie, wiem... Masz w posiadaniu akcye, które należały do nieszczęśliwego Laborda...

Zadrżał i wysunął się z objęć siostry.

— O, mój Boże! Któż ci to powiedział?

— Czy prawda?

Upadł, niemal omdlewający, na krzesło.

— Tak, prawda! To jest miałem je... I oto, widzisz, co mnie do szału doprowadza!... Już ich nie mam... Znaleziono je, skradziono, zabrano... Muszą wiedzieć, że to ja ukryłem je w parku.. Gdy mnie o nie pytać będą, co mam odpowiedzieć?... Gdy mnie zapytają, jakim sposobem wpadły w moje ręce, co mam mówić?

Julia krzyknęła:

— Mnie... mnie powiedz, jak je dostałeś?

Poruszył się niespokojnie z wyrazem rozpaczy na twarzy.

— Równie tobie, jak im, jak całemu światu, nie jestem w stanie powiedzieć, bo sam nie wiem!

Julia jęknęła boleśnie.

— Nie wiesz?

— Nie wiem!

— Lecz gdzie były, gdy je znalazłeś?

Obu rękami przycisnął czoło.

— Ach, słuchaj! Zdaje się, że oszaleję!

Ona usiadła na kanapie, tuż przy jego krześle i szyję opasała mu ramieniem.

— Mój Marcelku, mów!... Powiedz mi całą prawdę! Owładnij sobą... Ja cię ocalę... Przysięgam ci, że cię ocalę!

Oparł głowę na jej ramieniu i wymówił gasnącym głosem:

— Ach! lepiej mi... czuję, że mi jest lepiej, gdy słucham twojego głosu... Ty nie zwątpiłaś o mnie...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Groźny terror w Warszawie: Leon Matla, raniony podczas napadu na „Związek robotników piekarskich“.



Złote gody: Jubilaci pp. Wojciechowstwo Janiszewscy w otoczeniu rodziny i gości weselnych.

Groźny terror w Warszawie.

W Warszawie zdarzył się w dniu 23 bm. fakt, który brutalnością przewyższył wszystkie inne jakie się w ostatnich kilku latach zdarzyły, dając świadectwo niesłychanemu zdziczeniu, panującemu jeszcze wśród pewnych mało uświadomionych kulturalnie warstw rękodzielniczych. Wymienionego dnia około godz. 7 wieczorem do domu przy ul. Grzybowskiej l. 61, w którym mieści się zarząd „Polskiego Związku robotników piekarskich“ wpadło czterech młodych ludzi i zastawszy w kancelaryi obradujących czterech członków zarządu, a mianowicie: p. Adama Rudnickiego, prezesa, p. K. Rudzkiego, sekretarza, p. L. Matlę, kasyera oraz członków zarządu pp. Gołębiowskiego i J. godzińskiego zasypało siedzących gradem kul z brauningów. Siedzący najbliżej drzwi pp. Gołębiowski, Rudzki, Rudnicki i Jagodziński po pierwszych strzałach runęli z krzeseł na ziemię. Matla, który stał nieco w tyle, otrzymał tylko postrzał w dłoń, ale widząc, że napastnicy dalej strzelają, rzucił się na ziemię i udawał zabitego.

Mordercy widząc, że wszystkie ofiary nie żyją, dali jeszcze kilka strzałów w powietrze i pospiesznie wyszli na podwórze. Pogotowie ratunkowe zastało dwa trupy, Gołębiowskiego i Rudzkiego, dwaj inni Rudnicki i Jagodziński dawali słabe oznaki życia. Rudnicki w pół godziny po przewiezieniu go do szpitala zmarł, Jagodziński walczy ze śmiercią...

Całe niezwykle krwawe zajście wywołane zostało trwającemi od dłuższego czasu w branży piekarzy warszawskich nieporozumieniami pomiędzy „Związkiem“ a pracownikami, na tle żądań ekonomicznych. Zamach dokonany z ramienia strejkujących piekarzy przez wynajętych zbirów, miał na celu zgładzenie kasyera Matli, który głównie był solą w oku strejkujących jako posądzany o nieprzyjazną dla nich agitacyę. Władze pilnie poszukują sprawców tego niesłychanie zuchwałego napadu, który w kronikach teroru ekonomicznego w Warszawie wysuwa się jako jeden z najbrutalniejszych i najkrwawszych.

Złote gody.

W uroczej górskiej okolicy odbyła się w tych dniach wzniosła i piękna uroczystość: złote gody pp. Wojciechowstwa Janiszewskich, właścicieli Osieka, którzy w rodzinnym majątku ich najstarszego syna Jana, w Leszczanie Dolnej, w pow. Dobromilskim obchodzili 50-lecie pożycia małżeńskiego. Uroczystość ta, w której oprócz rodziny i jedynego wnuka, wzięło udział grono najbliższych sąsiadów, rozpoczęła się solennem nabożeństwem, po odprawieniu którego odczytano błogosławieństwo, przesłane sędziwym jubilatom przez ks. biskupa Pelczara z Przemyśla.

W zakończeniu tej rzadkiej uroczystości wszyscy jej uczestnicy udali się nazajutrz do Malany, sąsiedniej posiadłości młodszego syna pp. Janiszewskich, Stefana, skąd po serdecznem przyjęciu rozjechano się do domów, jeszcze raz składając sędziwym jubilatom życzenia już nie złotych, lecz brylantowych godów...



Groźny terror w Warszawie: Pokój „Związku robotników piekarskich“, w którym dokonano napadu.



Zgon sędziwego artysty-malarza: Ś. p. Kazimierz Mirecki.

Kronika tygodniowa.

Choćby człowiek miał gołębie serce i anielską cierpliwość, obecna wojna włosko-turecka mogłaby go doprowadzić conajmniej do maleńkiej szewskiej pasyi, tak sprzeczne wiadomości nadchodzą z pola walki. Oburzaliśmy się na Beduinów, że poważyli się wymordować misyę katolicką w Benghazi, opłakaliśmy ofiary ich barbarzyńskiego postępku, tymczasem w kilka dni później dowiadujemy się, że to wszystko nieprawda, że zmarnowany cały wylew uczucia...

To jedno jest pewnem, że Włosi rozpoczęli już na dobre misyę cywilizacyjną w Trypolisie i zapoznają Beduinów z europejską kulturą, mordując każdego napotkanego z bronią w ręku. Kinematograf święci niebywałe tryumfy, bo nawet już w Krakowie można się zachwycać widokiem bombardowania wybrzeży afrykańskich. Nic też dziwnego, że wiek dwudziesty będzie kiedyś nosił nazwisko kinematograficznego lub mówiących i rachujących psów, gdyż i taką osobliwość można oglądać w tych ciężkich czasach głodowo-wojennych w stołecznem, królewskiem i rozszerzonem sercu Polski.

Dzięki Trypolisowi zapomnieliśmy o Marokku. Francuzi i Niemcy porozumieli się już ze sobą, korzystając z tego, że oczy Europy zwróciły się w inną stronę. Ponieważ mocarstwa spodziewają się obfitego dla siebie połowu na wodach tureckich, sprawę marokkańską zostawiono familijnemu porozumieniu sąsiadów z nad Renu i zastrzegające sobie tylko rekompensatę przy podziale ruchomości i nieruchomości sułtana Mahometa V., który lada chwila powinien ogłosić zupełną wyzprzedaż z powodu zwinięcia interesu. Nie dojdzie do tego chyba wówczas, jeżeli Włosi dostaną w skórę w Trypolisie, bo jakoś i na to się zanosi. Poprawiłyby się w tym wypadku kredyty tureckie, a europejskie mocarstwa przyznałyby się do przyjaźni z Turcyą, gdyż obecnie wszystkie pochowały się za parawan neutralności i pozostawiły ją własnemu losowi.

Płacze też Mahomet nad niewdzięcznością sprzymierzeńców, a choć zaliczą się *de nomine* do Młodoturków, *de facto* jest Staroturkiem do szpiku kości, więc nawet i w swym seraju nie może znaleźć pociechy w tem zmartwieniu. To jedno go krzepi, że jest w stosunkowo lepszem położeniu niż kolega Mahomet Ali z Persyi, ma przynajmniej głowę w porządku.

Skoro już zawadziłem o egzotycznych władców, wypada też poświęcić żałobne wspomnienia i synowi słońca, jego cesarskiej mości Pu-Ji. Rewolucya w „państwie środka“ przybiera coraz bardziej zastraszające rozmiary, a biedny cesarz chiński nie może mieć nawet tej satysfakcyi, by poprowadzić w bój swe waleczne zastępy, gdyż po pierwsze liczy dopiero cztery wiosny i umie dosiadać tylko drewnianego rumaka na biegunach, po drugie zaś zbuntowało mu się wojsko i przeszło na stronę powstańców. Melankolia kąsa go też straszliwie i według wschodniego zwyczaju widzi wszystko „w żółtym kolorze“.

A Europa czeka cierpliwie, gdyż i tutaj będzie się można zapewne należycie obłowić, a równocześnie przeszkodzi się rozszerzaniu się „żółtego niebezpieczeństwa“, przed którem swego czasu ostrzegał już cesarz Wilhelm Europę.

Krakowianie zajmują się jednak mało polityką na szerszą skalę, gdyż mają u siebie zgryza, który spędza im w nocy sen z oczu, a w dzień przeszkadza w regularnem trawieniu. Tym klinem, którego nam w ubiegłym tygodniu zabito, to odmowa Podgórza. Spodziewaliśmy się, że zanim rok tysiąc dziewięćsetny jedenasty dobiegnie do kresu, jak daleko sięgniesz okiem z kopca Kościuszki, będzie jeden tylko wielki Kraków, tymczasem Podgórzanie stanęli okoniem i powiadają *veto!* Kraków kochamy, o ile mamy zeń korzyści, nie myślimy się jednak z nim łączyć, by majątkiem swym ratować jego zagrożoną sytuacyę.

W pierwszej chwili sądzono, że pociągnie to za sobą zerwanie dyplomatycznych stosunków między tak zwaną „Galicyą“ a Krakowem, o ile jednak udało mi się sprawdzić, rokowania toczą się dalej i kiedyś muszą doprowadzić do rezultatu. W codziennej prasie wykazano referentowi tej sprawy w podgórskiej radzie miejskiej, że opierał się na fałszywych danych, bo ani Kraków tak jeszcze nie skapcaniał, jak on twierdził, ani Podgórze nie jest taką krainą obiecaną, opływającą w miód, mleko i kamieniołomy.

Swoją drogą, odmowa Podgórza zmartwiła krakowskie sfery rządzące, które były pewne, że sąsiad z radością rzuci się w ich objęcia, powiadają przecież, że czy prędzej, czy później, przyjdzie wreszcie do tego, zwłaszcza, że powoli otacza się nieprzyjaciela żelaznym pierścieniem, który musi go kiedyś udusić.

O wojennych krokach pomiędzy obu miastami na razie niema mowy, wobec tego fałszem są wiadomości podane w jednem z krakowskim pism, jakoby zmobilizowano już krakowskie siły zbrojne lądowe i morskie, które lada chwila mają wkroczyć na Podgórze i że Wieliczka ogłosiła swą neutralność, bo to teraz w modzie. O rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich przed ukończeniem budowy trzeciego mostu na Wiśle niema i mowy, zresztą i pancerniki akcyzowe nie opuściły jeszcze doków fabryki Zieleniewskiego.

Pokojowo zakończyła się także i druga walka, jaka od dłuższego czasu toczyła się w łonie krakowskiej kongregacyi kupieckiej. Partya „młodych“ ustąpiła miejsca „starym“ i wszystko powróciło do dawnego trybu. A szkoda, wartoby rozruszać trochę tę poważną instytucyę, która wiedzie żywot zanadto wygodny i spokojny, co wychodzi tylko na szkodę krakowskiemu kupiectwu.

Rozruszała także pośrednio Galicyę a bezpośrednio Kraków śmierć ś. p. ks. Stojałowskiego, jednego z pierwszych inicyatorów ruchu ludowego w Galicyi. Różne odłamy prasy rozmaicie scharakteryzowały działalność Zmarłego, zależnie od tego, jakie zastępują stronnictwa polityczne, najbezwzględniej jednak wystąpiła konserwa (*Czas* i lwowski *Przegląd*), oraz, rzecz prosta, partya socyalnodemokratyczna.

Socyaliści nie mogą darować ś. p. ks. Stojałowskiemu, który swojego czasu będąc w wielkiej opressyi zbliżył się do nich, że pozostał wiernym Kościołowi i polskości, byłby to bowiem dla nich tryumf nielada, gdyby mogli byli zaliczyć go w poczet swych członków czynnych. Tak się jednak nie stało, działalnością swą napsuł im nieboszczyk dość krwi serdecznej i *inde ira!*

Także i konserwa nie mogąca zapomnieć o dawnej pańszczyźnie, skrytykowała ostro działalność polityczną Zmarłego, wychodząc ze zasady, że chłop powinien być ciemny i głupi, gdyż tylko takimi można kierować według swojego widzimisię. To też nekrologista lwowskiego *Przeglądu* powiada wyraźnie, że zasług jego *my* ocenić nie możemy, owszem, to, co podnoszą inne stronnictwa, uważamy „za najujemniejszą stronę działalności tego kapłana“. A chodzi mu głównie o „rozpolitykowanie chłopa, podniecenie w nim apetytów, które nigdy zaspokojone nie będą i wytworzenie buty, która nigdy pożytku nie przyniesie“.

Z własnego punktu widzenia *Przegląd* ma słuszność, napisał przecież tylko tyle, ile mu kazali jego chlebodawcy, nie mogący tego strawić, że wyrwano im z rąk cugle, na których ongiś chłopa prowadzili. Nie podzielają jednak tego zapatrywania inni, patrzący zdrowo na świat i dążący do postępu.

Z ogromnem zaciekawieniem śledzimy obecnie układanie się stosunków w parlamencie wiedeńskim, gdyż zdaje się, że już w najbliższym czasie musi przyjść do rekonstrukcyi gabinetu bar. Gautscha. Miałby to być gabinet parlamentarny, utworzony na zasadzie porozumienia niemiecko-polsko czeskiego. Czy na jego czele potrafi się utrzymać dotychczasowy premier, jest rzeczą bardzo wątpliwą, zdaje się, że będzie musiał ustąpić miejsca dotychczasowemu prezesowi Koła Polskiego, drowi Bilińskiemu, który całą siłą pary wyjeżdża na widownię polityczną. Opinie posłów są podzielone, jedni z nich uważają ostatnią jego mowę, wygłoszoną w Izbie, za śpiew łabędzi pana Pawła, inni znów utrzymują, że stanowisko obecnego rządu jest silne i przewąchują w niedalekiej przyszłości ostawiony paragraf czternasty, gdyby stosunki się nie poprawiły.

Zapowiedzią jego ma być, według zdania astrologów parlamentarnych, pojawienie się na niebiosach komety Broocksa, która choć mniej reklamowana, niż ongiś Halley, świeci daleko jaśniej i ma dłuższy i ładniejszy ogon. Niestety, okazuje się na horyzoncie dopiero nad ranem około trzeciej, kiedy to ludzie żonaci z natury rzeczy są już w domu, więc astronomią bawić się nie mogą. Długi jej ogon zwiastuje także spodziewaną zmianę w modach damskich, to jednak nie należy do zakresu mojej kronikarskiej działalności.

Wogóle mowa Gautscha wywołała pośród austryackich urzędników, głównie zaś kolejarzy, łatwo zrozumiałe niezadowolenie. Zapowiedź biernego oporu z ich strony nazwał zbrodnią, której rząd tolerować nie może, ale wystąpi z całą energią, na jaką go tylko stać. Urzędnicy powinni postępować według uświęconej wiekami zasady: *Maul halten und weiter dienen...* i czekać na spełnienie obietnic rządowych, wiadomo zaś, że „błogosławieni cierpliwi“. W ten sposób zyskują sobie nagrodę wieczną, która ich z pewnością nie minie po głodowej śmierci.

W myśl projektu rządowego czeka każdego z nich bardzo wydatna podwyżka płacy, coś około trzydziestu halerzy dziennie. Zresztą panującej wśród nich nędzy sami są winni, nie trzeba się bowiem było żenić. Dziś minister może sobie pozwolić najwyżej na dwoje dzieci, tymczasem widzimy, że urzędnicy najniższych rang mnożą się najliczniej. To wyładowanie energii jest również karygodnem, gdyż wyrządza szkodę państwu, które w innym wypadku mogłoby z niej korzystać. Na przyszłość, przy kwalifikowaniu urzędników będzie się na tę okoliczność zwracać baczną uwagę.

Na zakończenie robił pan prezes „perskie oko“ do lojalnego Koła Polskiego, które zawsze gotowe jest bronić przedłożeń rządowych, wyraził przekonanie, że praca w parlamencie jest niemożliwą, dopóki nie pozyska się Czechów i wezwał wszystkie stronnictwa do łączenia się przeciw terroryzmowi socyalistów.

Odpowiedział pan Biliński, jak zwykle bardzo pięknie. W wielkich sprawach państwowych polityka Koła będzie zawsze dynastyczną i mocarstwową, stosunek natomiast do rządu określić się da przysłowiem: Jak Kuba Bogu... czyli: Jak Paweł Kołu, tak Koło Pawłowi.

Koło zaś żąda zabezpieczenia budowy kanałów i stawia to jako *conditio sine qua non* popierania przedłożeń rządowych.

Następnie omówiwszy, sprawę śląską i ugodę polsko-ruską, którą dla obu narodów uważa za konieczną, poddał krytyce stanowisko Gautscha względem socyalistów oraz jego antydrożyźniane projekty, które do celu nie prowadzą.

Na ogół, mowa Bilińskiego wywarła jak najlepsze wrażenie, nawet *Gazeta Poniedziałkowa* poświęciła jej osobny artykuł, w którym przepowiada proroczo, że „obecne przesilenie jest przygrywką zawikłań późniejszych, które żywiołowo wysuną Bilińskiego na stanowisko naczelne“.

Samobójstwo inspektora kolejowego.

W niezwykle przykrych okolicznościach popełnił w dniu 23 bm. we Lwowie samobójstwo jeden z wysokich urzędników tamtejszej dyrekcyi kolei państwowych Jerzy Gutman, radca cesarski i szef departamentu dla spraw personalnych. Samobójstwo sześćdziesięciojeden - letniego człowieka na niezale-



Samobójstwo inspektora kolejowego: Jerzy Gutman.

żnem i wpływowem stanowisku. kawalera, wywarło w szerokich kołach Lwowa wielkie wrażenie, zmarły bowiem był człowiekiem pogodnego usposobienia, lubiącym życie i cieszącym się w kołach kolejarzy szacunkiem i uznaniem.

Zmarły zginął okropną śmiercią, rzucił się bowiem z trzeciego piętra gmachu dyrekcyi kolejowej głową na dół. Znaleziono go z roztrzaskaną czaszką; mózg nieszczęśliwego rozprysł się na wszystkie strony, plamiąc bruk dziedzińca.



Wybuch dynamitu w Warszawie: Skład broni Zieglera przy ul. Trębackiej, w piwnicach którego nastąpił wybuch

Wybuch dynamitu w Warszawie.

Skład broni R. Zieglera w Warszawie (w gmachu dochodowym teatrów przy ul. Trębackiej) był w dniu 27. z. m. widownią katastrofy, która tylko dzięki szczęśliwym okolicznościom nie pociągnęła za sobą większych ofiar. Mianowicie w pracowni rusznikarskiej tego zakładu, mieszczącej się w suterenach, eksplodowała skrzynka z kapslami dynamitowymi. Wybuch był tak silny, że w sklepie niemal wszystko pospadało ze ścian, a szyby frontowe rozprysły się w drobne kawałki.

Jeszcze większe spustoszenia spowodował wybuch w pracowni, gdzie podczas wybuchu znajdował się na szczęście tylko jeden pracownik firmy, p. Dąbrowski, który został tak silnie pokaleczony, że musiano go odwieźć do szpitala. Eksplozya nastąpiła właśnie podczas zabijania przez Dąbrowskiego skrzynki z kapslami.

Ilustracye nasze przedstawiają pracownię rusznikarską po wybuchu i widok zewnętrzny składu broni Zieglera.



Wybuch dynamitu w Warszawie: Pracownia strzelnicza składu broni Zieglera, zniszczona przez wybuch.

Wielki eksporter żywego towaru.

Plaga handlu żywym towarem, będąca w czasach dzisiejszych tem samem, czem w dawnych wiekach był handel niewolnikami, spowodowała rządy państw europejskich do zorganizowania zbiorowej



Wielki eksporter żywego towaru: Mendel Protter.



Bandyta kandydatem na prezesa Polskiego Związku w Ameryce: Konstanty Tomaszewski.

Zgon sędziwego artysty-malarza.

Z kolonii artystycznej Krakowa ubył znowu jeden z najstarszych weteranów malarstwa polskiego. W dniu 25 b. m. zmarł ś. p. Kazimierz Mirecki przeżywszy lat 81. Znaczną część życia przepędził zmarły w Warszawie, gdzie był osobistością powszechnie znaną i szanowaną. Tam też pozostawił najdonioślejszą część swego dorobku artystycznego, z którego należy wymienić obrazy rodzajowo historyczne, jak: „Koncert na dworze Zygmunta Starego", „Epizod z oblężenia Lwowa za Jana Kazimierza", „Pod Twoję obronę" i wiele innych.

W ostatnich latach sędziwy malarz, znużony rozgwarem wielkomiejskim, przeniósł się do Krakowa, gdzie pomimo podeszłego wieku — w miarę sił swoich i talentu, nie przestawał pracować dla sztuki aż do śmierci, która przerwała pasmo tego pracowitego żywota...

akcyi w celu ukrócenia tego zbrodniczego procederu, którego ofiarą pada głównie Europa.

To też od czasu do czasu w ręce władz wpada jakiś ajent czy stręczycielka, przyłapana na gorącym uczynku „werbowania“. Główni macherzy w handlu żywym towarem pozostają zwykle w ukryciu. Dzięki jednak informacyi otrzymanej z Buenos Ayres, policyi krakowskiej udało się obecnie pochwycić jednego z głównych eksporterów „żywego towaru“, Mendla Prottera, który należał do najniebezpieczniejszych tego rodzaju handlarzy, a przyjechał właśnie do Galicyi, aby zaopatrzyć się w świeży „towar“ na wywóz do Ameryki.

Bandyta kandydatem na prezesa Polskiego Związku w Ameryce.

Przed kilku laty do miasta Buffalo przybył z Rosyi mężczyzna czterdziestokilkoletni i podając się za Antoniego Skarzyńskiego, adwokata z Królestwa Polskiego, rozpoczął wydawanie „Dziennika dla wszystkich“, który wkrótce zjednał sobie szerokie rozpowszechnienie jako organ tamtejszej polskiej kolonii. Niezależnie od tego Skarzyński rzucił się na pole przemysłu i począł wyrabiać na wielką skalę „wino częstochowskie“ (rodzaj balsamu kapucyńskiego), środek rzekomo usuwający wszelkie dolegliwości. Wyrób swój Skarzyński wprowadził reklamowo w swem piśmie oraz innych organach, a łatwowierność rodaków ułatwiła mu do tego stopnia oszukańczy ten proceder, że nie tylko robił majątek, ale jeszcze uchodził w oczach naiwnych współrodaków za dobroczyńcę ludzkości.

Popularność Skarzyńskiego wzrosła do tego stopnia, że w pewnych sferach kolonii polskiej w Buffalo powzięto myśl popierania kandydatury Skarzyńskiego na prezydenta „Polskiego Związku narodowego w Ameryce“, jednej z największych polskich instytucyi amerykańskich, liczącej 18 000 członków.

Wobec tego, że kilku członków kolonii polskiej miało pewne podejrzenia co do osoby Skarzyńskiego, zakomunikowali oni swe spostrzeżenia austryackiemu konsulatowi w Buffalo, a ten zwrócił się prywatnie o informacyę do znanego krakowskiego agenta policyi p. Bronisława Karcza.

I wyszły na jaw rzeczy, zgoła nieoczekiwane. Okazało się, że rzekomy Antoni Skarzyński jest identycznym z aresztowanym swego czasu w Krakowie złodziejem Tomaszewskim, liczącym lat 42. Urodzony w Łękach dolnych w pow. kutnowskim gub. warszawskiej, jest z zawodu stolarzem. W r. 1900 aresztowano go w jednym z pensyonatów krakowskich i na zasadzie listów gończych, nadesłanych z Królestwa i z Rosyi, stwierdzono jego sprawki.

Po aresztowaniu w Krakowie Tomaszewski wydany został władzom rosyjskim, które go skazały na ciężkie roboty. W r. 1902 umknął jednak z więzienia kijowskiego i począł dalej uprawiać swe złodziejskie rzemiosło, aż wreszcie wypłynął w Ameryce jako wydawca gazety, fabrykant „wina częstochowskiego“ i kandydat na prezydenta.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 42.

Łamigłówka: Walka przeciw drożyznie

Zadanie do przestawienia: Przy dobrem sumieniu wyspisz się i na kamieniu

Zadanie do przestawienia: Poznać pana po cholewach

Krzyż magiczny:

```
      K K T
      o a a
K o m p r e s
K a p i t a ł
P r o t a z y
      s a k
      t n i
```

Przysłowiówka: Oko pańskie konia tuczy.

Kwadrat magiczny: Rabat.

Szarada: Włosi.

Łamigłówka: Mickiewicz, Pan Tadeusz.

Malarz
Sroki
Cukru
Kasek
Iwangród
Antyle
Warsztat
Nauki
Czapla
Pałasz

Zadanie do przestawienia: Od przybytku głowa, nie boli

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Z. Malinowska Kraków. J. Cieśliński Rzeszów K. Radzinski Łańcut, H. Grvziecka Rzeszów, J. Charzewski Kraków, T. Trąbczyński Przemyśl, A. Balicki Stanisławów, K. Gliński Kołomyia, M. Świrska Sandomierz, J. Kwaśniewski Przemyśl. W. Ostrowski Piotrków, R Bandrowski Warszawa, J. Jabłoński Tarnów, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, R Tokarski Rzeszów, J. Pytel Kolbuszowa, J. Łopatkiewicz Lwów, J Radoszewski Strzyżów, J. Leszczyński Rozwadów. T Nikiel Kraków, F Horak Oświęcim, M. Raszka Brzeżany, H Mróz Rzeszów, M. Zamojski Lwów, W. Thun Kalisz, S Kalinowski Warszawa, J. Trepka Radom, T Mazaraki Sambor, R Gawiński Kraków, A Siatka Kraków, S. Karczmarski Poddębie, H. Limanowski Warszawa, J Płaziński Tarnopol, J. Scholz Kolbuszowa, K. Bernatowicz Rzeszów, B Sługocki Lwów, M Więckowska Sanok, J. R domyski Piotrków, Z. Giżyńska Kijów, S Bukowski Kijów, H Maciejowska Winnica, S. Michalik Kraków, R Waligórski Przemyśl, S. Krzyżanowski Podgórze, Z. Taborska Nowy Sącz, H. Obst Warszawa, A. Biliński Stanisław, H. Lisowski Wilno, K Ohrenstein Podgórze, C. Wang Rzeszów, D Engelberg Lwów, J. Zachara Mielec, K Wyka Tarnów. D. Sedyńska Kraków, J Jakubowska Kraków, M. Klappholz Rzeszów, W Potocka Kraków. J Wilczkiewicz Sambor, S. Wysoczański Warszawa, T. Stanślicka Głogów, F. Bätterfeind Kołomyja, S. Rogozińska Kijów, J. Antosz Tarnów, H Wolański Dąbrowa, T Broda Strzyżów. M. Kunz Czerniowce, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Lipski Wiedeń, H. Trojacki Lwów, M Piątek Podwołoczyska, L Obraczay Cieszyn, J Jahoda Cieszyn, K Kaim Kraków, S Kowalówka Facimiech, M. Rawska Głogów, M. Cichocka Brzeżany, Z Serwański Jasło, H Jaworski Kijów. I Brzostowski Podgórze, J Strojek Tarnopol. J. Nowacki Jasło, M Kozicka Tarnów, Z Rosenbaum Bochnia, J. Wolny Warszawa. H. Mazurkiewicz Lwów, J Popiel Kamieniec, A. Gralewski Kraków, R Kowalski Kraków, S Kamiński Petersburg. D. Schwadron Stanisławów, S. Medyński Zakopane J. Krawecki Rzeszów, K Armatys Uhnów, J. Czarkowski Pilzno. J. Sokołowski Kraków, T. Kępiński Łomża, M. Sperling Wiedeń, K. Reichenberg Cieszyn D Gross Sanok, M. Münz Stryj J Pawłowski Lwów. A Lorencki Warszawa, M Serbeńska Bndzanów. H Zegartowska Bogucice M. Arbesbauer Lwów, K Fuchs Czeremchów, K. Szumańska Rawa Ruska

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Sokołowski, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: Atrakcyą obecnego programu jest bezsprzecznie dramat historyczny p. t „Napoleon na wygnaniu na wyspie św. Heleny. Plastycznie i wyraziście przesunie się przed oczyma widzów tragedya wielkiego cesarza „Znanal Pathégo“ zawsze mile widziany, oraz kilka komicznych zdjęć, składają się na całość, zasługująca na uznanie.

NADESŁANE.

Ze świata kobiecego.

Stroje jesienne.

Nigdy jeszcze kostyumy *tailleurs* nie były tak różnorodnymi jak tego roku. Zachowując swą zewnętrzną prostotę, są jednak niezmiernie urozmaiconymi. Składa się na to przedewszystkiem bogactwo tonów we wszystkich barwach aksamitów, welwetów, szewiotów i materyałów angielskich; powtóre różnorodne przybrania spódnic i żakietów, wreszcie fantastyczność kołnierzy i rewerów.



Suknia wizytowa. Suknia z jedwabiu w pasy lila i bukiety *pompadour*, trzy falbany z muślinu jedwabnego, przytrzymane aksamitką koloru biskupiego, stanik *directoir* z długiemi klapami w tymże kolorze z paskiem aksamitnym, falbany przy rękawach i szeroki kołnierz muślinowy.

Ogólna sylwetka spódnicy z żakietem pozostała mniej więcej ta sama, spódnice jednak straciły niezmierną obcisłość dołu, która tego lata czyniła spętanie nóg całkiem już niełądne i niewygodne.

Spódnice, przecięte u dołu z obu stron przedniego brytu, pozwalające w czasie chodu oglądać nogę prawie do połowy łydki, które (rzecz szczególna!) przyjęły się najwięcej u tak łatwo gorszących się angielek, zostały zupełnie zaniechane, nawet panie z półświatka nie podtrzymują nowego sposobu kokietowania brzydszej połowy rodu ludzkiego. Natomiast robi się dużo spódnic z dwóch brytów, krzyżujących się jeden na drugim z przodu, z tyłu, lub z boku. W tym względzie niema reguły, stosuje się jedynie do charakteru i przybrania żakietu. To ścięcie spódnicy, mniej lub więcej ukośne, stanowi łatwe i ładne urozmaicenie. Brzeg bryta, przychodzącego na wierzch, podkreśla się jakiem przybraniem; w bardzo grubych materyałach bywa poprostu głębokie przestebnowanie, albo wypustka z miękkiego jedwabiu wązka na jeden centymetr, pojedyncza lub podwójna, to taśma lub pasmanterya, zupełnie odmiennego koloru niż kostyum, wreszcie haft tegoż tonu, co suknia, lub przybranie żakietu. Wiele spódnic ma rozcięcie po prawej lub lewej stronie, podszyte wachlarzem z jedwabiu tegoż koloru co i spódnica, lub odsłania drugą spódnicę, gładką, w tonie ciemniejszym. Robi się też wiele spódnic z trzech brytów; z tyłu bryt prosty, o prostej nici, czasem zaokrąglony u dołu lub podpięty paru fałdkami; dwa drugie bryty nie są zszyte ze sobą, lecz zakładają się jeden na drugi, przytwierdzone ze spodu w sposób niedostrzegalny. O ile tylny bryt ma zmarszczki i fałdy, to aby nie pogrubiał figury, obciąga go się odpowiednimi ciężarkami. Zaczynają też wracać falbany; widujemy je szczególniej przy spódnicach otwartych z boku. Gdy rozcięcie spódnicy zaczyna się już od pasa, falbany takie, ułożone płasko, bywają zazwyczaj płaskie, długie na 15 do 20 centymetrów. Ponieważ spódnice kostyumowe nie przestają być krótkiemi, mają panie racyę kupowania kosztownych i wykwintnych trzewików, w najróżnorodniejszych kolorach.

Żakiety z materyałów grubych, aksamitu lub welwetów prążkowanych, bywają luźne; niektóre o krótkim stanie żakietów *empire*. Przybierane są bardzo kołnierzami i wyłogami w żywych barwach, gipiurą lub haftem wycinanym. Wiele żakietów posiada kołnierz z materyału, z którego jest cały kostyum, a wyłogi tylko odmienne. Kołnierz, gdy jest w dwóch kolorach, kroi się bardzo szeroki, spadający aż na rękawy.

Żakiety zimowe miewać będą kołnierze futrzane, formą szalowe; najmodniejsze będą bobry i shungsy. Gronostaje zawsze znajdą zastosowanie. Rękawów nie obszywa się futrem, w brzydki sposób pogrubiającem rękę, przybiera się tylko guzikami, na wzór palt męskich.

Jeśli kołnierz żakietu zrobiony jest z dwóch materyałów, takaż kombinacya widzi się i u rękawów. Rękaw rozszerza się cokolwiek u góry przez dodanie paru fałdek z każdej strony szwa na ramieniu; potem rękaw ścina się silnie i przechodzi w zupełnie obcisły. To rozszerzenie rękawa nie jest fantazyą; wywołane jest ono koniecznością: staniki i bluzki nowomodne, przybierane kołnierzami, zachodzącemi na ramię, potrzebują koniecznie miejsca, aby niegnieść się pod żakietem. Zresztą i rękawy bluzek, szczególniej angielskich, przymarszczają się lekko u góry. Żakiety bez kołnierza robią się tylko dla pań, chcących podnieść toalety bogatym szalem futrzanym. Panie, nie posiadające takiego stroju w swojej toalecie, każą robić u futer obcisły kołnierz oficerski, obszyty paskiem futrzanym. Futra takie zapinają się na duże guzy, lub przybierają sznurami na sposób węgierski. Ten rodzaj okryć nadaje się tylko dla pań wysmukłych i o długiej szyi.

Bluzki, noszone do żakietów, pozostają ciągle jeszcze formą kimono, tak niezmiernie awantażowną dla kształtów kobiety i korzystną dla kieszeni, wymagają bowiem niezmiernie mało materyału, tem mniej, że spódnice wysokie, dochodzące niemal pod biust, skracają do minimum ich długość. Bardzo modnemi, jako wykończenie ich, są szerokie gipiury lub hafty, obejmujące całą dolną część bluzki aż do linii największej wypukłości. Ze względu na porę roku wycięcie w koło szyi dopełnia się szmizetką z kołnierzykiem podszytym przy uszach wysokiemi drucikami.

Ponieważ o kapeluszach mówiłam obszernie w poprzednim numerze, w dzisiejszym pozostaje mi tylko, dla skompletowania wskazówek do całości toalety, powiedzieć coś niecoś o modnych uczesaniach.

Otóż „grzywka“, którą, ku zgorszeniu wielu, zaczęły nosić panie tego lata, utrzymuje się jeszcze, ale zmieniła charakter; ze sztywnej, równej, rzadkiej frendzelki na czole, przechodzi w lekko podfryzowane pierścienie, na które nasuwa się jeszcze zwoje włosów. Wogóle cała koafiura nasuwa się mocno na twarz, co jest bardzo awantażownem dla pań o twarzy pełnej. Szinion, bądź węzeł, bądź pukle umieszcza się przeważnie nisko, nad karkiem. Wstążki wyszły z mody, natomiast do toalet balo-



Płaszcz do toalet wieczorowych. Płaszcz z brokatu w bogaty deseń na jasnem tle, kołnierz z błękitnych lisów, rewery z aksamitu koloru desenia płaszcza, pokryte złotą koronką, takaż koronka przy rękawach.

wych nosi się wielce złote sznury i klamry, wysadzane kamieniami.

Ramo.

GASTON LEROUX.

BALAOO

KSIĘGA I.

Przestrach we wsi.

2)

Patryk, który był praktykantem notaryalnym u swego ojca przy ulicy Eeu w Clermont Ferrand, miał usposobienie dosyć bojaźliwe. Drżąc zsunął się z bilardu. Ze ściśniętem gardłem, z kroplami potu na czole, podziwiał odwagę Blondela zbliżającego się do drzwi szynkowni, wychodzących na ulicę, za któremi słychać było jęki. Komiwojażer w chustce, zamiast szlafmycy na głowie, z koszulą wyciągniętą na spodnie, boso — wyglądał bardzo śmiesznie. Patryk jednak nie myślał śmiać się.

Jęki raptownie ustały. Blondel i Patryk przyglądali się sobie w milczeniu — przy ponurem świetle lampy wiszącej nad bilardem. Cały tajemniczy dramat, którego ofiarą padli Camus i Lombard — stanął przed ich oczami. Sprawa tak samo się zaczynała, jak wówczas: od jęków. Nagle odwrócili głowy. Drzwi od schodów prowadzących na górę otworzyły się i stanął w nich Roubion z rewolwerem w ręku.

— Czyście panowie słyszeli? — zapytał szeptem.

— Słyszeliśmy.

Roubion był, jak i żona, olbrzymiego wzrostu, jednak trząsł się jak liść. Wszyscy trzej stali przez chwilę przed drzwiami wychodzącemi na ulicę, wsłuchując się w ciszę nocy wiejskiej, której nic nie zamąciło.

— Może omyliliśmy się — rzekł Roubion z westchnieniem, po namyśle.

Blondel, który tymczasem odzyskał zimną krew, pokręcił głową przecząco.

— Zobaczymy.

— Jakto! Przecież pan nie będzie otwierał drzwi — zaprotestował oberżysta.

Blondel nie odpowiedział i zajął się rozniecaniem ognia na kominie. Noc nie była ciepła, chociaż był początek lata. Wszyscy trzej zbliżyli się do komina i Roubion zaczął grzać wino w rondelku.

— W każdym razie — powiedział komiwojażer — opłaciłoby się tych bandytów złapać.

— Milcz pan — zawołał Roubion. — Nie trzeba się tem zajmować, bo to przyniesie nieszczęście.

— Rzeczywiście — potwierdził Patryk — to nie nasza sprawa!

— Niech pan sobie przypomni Camusa i Lombarda! Gdybyż byli nie otwierali drzwi!

Blondel, który był w podróży w czasie spełnienia tych dwu zbrodni, zapytał o szczegóły. Roubion, nie słysząc nic podejrzanego, uspokoił się i zaczął szeroko opowiadać.

— Oto jak się to odbyło. Lombard i jego stara ciotka, zamknąwszy szczelnie wszystkie drzwi i okna, jak się to u nas w Saint Martin teraz robi — położyli się spać. Pokoje ich były na parterze. Fryzyer zasnął mocno, lecz w nocy został zbudzony przez ciotkę, zaniepokojoną jakiemiś odgłosami. Lombard zaczął nadsłuchiwać. Rzeczywiście, słychać było jakieś jęki. Było to jakby rzężenie przerywane żałosnymi krzykami. Lombard wstał, zapalił świecę i wyjął z szafki nocnej rewolwer. Panowie wiedzą, jak się u nas musi być ostrożnym. Ciotka zaczęła go błagać szeptem, aby nie otwierał drzwi. Lombard zapytał głośno:

— Kto tam jest i kto się s arży? Odpowiedział mu głos: „To ja, Zoe. Litości dla domu człowieka!"

— Co to ma znaczyć: „Litości dla domu człowieka!" — przerwał Blondel.

— Ah, to jest wyrażenie tej dziewczyny. Żyje ona jak zwierzątko, to w norze swoich braci, to w lesie, a że ci bracia rozmawiają ze sobą złodziejskim żargonem, więc i ona używa wyrażeń, których nikt nie może zrozumieć.

— A więc widzi pan, że to była ona — rzekł Blondel, nie może być o tem dwu zdań.

— Niech pan czeka! Było to koło jedenastej. Nie zważając na protesty ciotki, Lombard otworzył drzwi i wyjrzał na ulicę. Noc była jasna — nic jednak nie zobaczył, czem był mocno zdziwiony. Jęki ucichły. Bojąc się zasadzki, nie wyszedł za próg i tylko zawołał na Zoe. Nie dostawszy odpowiedzi, zamknął starannie drzwi i położył się, mówiąc: „Znowu jakaś farsa, nie można spać nawet spokojnie w Saint Martin". Ciotka również się położyła, ale po tem zajściu nie mogła zasnąć. Nie spała całą noc.

— O — rzekł Patryk — musiała zasnąć... Inaczej byłaby słyszała!...

— Upewnia, że nie zmrużyła oka. Drzwi od pokoju siostrzeńca były otwarte. Rano wstała i jak zwykle poszła otworzyć okiennice w sypialni Lombarda. Odwróciwszy się, ujrzała ze zdziwieniem, że go nie było w alkowie. Zdumiona otworzyła drzwi, prowadzące do pokoju fryzyerskiego i krzyknęła przeraźliwie. Ciało nieszczęśliwego fryzyera wisiało pośrodku pokoju na haku od lampy. Na razie myślano, iż to był zamach samobójczy, ale doktor Honorat i lekarz sądowy stwierdzili uduszenie, które miało miejsce przed powieszeniem. Musiało się to odbyć tak raptownie, iż nieszczęśliwy nie zdążył nawet krzyknąć — inaczej ciotka byłaby coś słyszała. Co było najbardziej tajemnicze, to sposób, w jaki ciało było przeniesione do sklepu i powieszone! Nie było żadnych śladów w sklepie, który był z wieczora świeżo wysypany piaskiem. Wreszcie dowodem tego, iż Lombard nie powiesił się sam, było to, iż nie znaleziono koło niego ani krzesła, ani stołka wywróconego.

— Tak — powiedział Blondel, kiwając głową. — Nędznicy mają przeróżne sposoby! No, a jakże było z Camusem?

— Ta sama historya. On także usłyszał jęki i poznał głos Zoe. Camus był przyjacielem Lombarda, pomyślał, iż nadarza się dobra sposobność do wykrycia zbrodniarza i pomszczenia śmierci fryzyera. Uzbroił się więc i otworzył drzwi — ale jak i tamten nic nie zobaczył i nic więcej nie usłyszał. Lecz zamknąwszy drzwi, nie położył się więcej. Przez ostrożność zapalił wszystkie lampy w sklepie i z rewolwerem pod ręką zaczął obliczać kasę. Chłopakowi, który u niego służył, kazał iść spać. Na drugi dzień chłopak ów znalazł swego pana powieszonego na żelaznym haku, służącym do zawieszania metra krawieckiego. Rewolwer leżał jak przedtem na kasie, z której nic nie ruszono. Gardło Camusa nosiło te same straszne znaki uduszenia, jak i u Lombarda. W mieszkaniu zaś nie znaleziono żadnych śladów, któreby mogły wytłómaczyć przebieg zbrodni.

Powtarza się wciąż: „Bracia Vautrins!" I cóż! Oni sami przecież przyprowadzili małą Zoe do sędziego śledczego. Ta zaś z łatwością dowiodła, iż znajdowała się daleko od miejsca zbrodni w chwili jej spełnienia — więc chyba głos jej ktoś naśladował.

— A gdzie ona była? — zapytał Blondel.

— Pomagała służącej pana mera w myciu naczyń, gdyż było tam tego dnia wielkie przyjęcie.

— Doskonałe alibi! — zadrwił komiwojażer.

— Panie Blondel, pana zaślepia polityka — rzekł Roubion, dolewając mu wina.

— No, a bracia Vautrin, czy byli badani?

— Sędzia chciał ich badać. Odpowiedzieli, iż Zoe za nich zeznała i że nie są już w tym wieku, kiedy się miewa zatargi z sądem, że dotychczas nie można im było nic zarzucić, a wkońcu zażądali, aby ich zostawiono w spokoju.

— Co za bezczelność! — zawołał Blondel.

— Słuchajcie! — przerwał Patryk.

Jęki rozległy się znowu. Wszyscy trzej zerwali się na równe nogi.

Patryk drżał cały i o mało nie upadł, usłyszawszy nadzwyczaj wyraźnie to straszne zdanie: „To ja, Zoe! Litości dla domu człowieka!" Roubion, blady jak ściana, ściskał w ręku rewolwer. Blondel wyrzekł półgłosem:

— To napewno głos Zoe. Nie może być w tem pomyłki, poznaję go. I posunął się ku drzwiom.

Jęki zdawały się zbliżać. Miało się wrażenie, iż się odzywały nad samem uchem. Słychać było ciężki oddech i powtarzające się rozpaczliwe zdanie:

— „Litości! Litości dla domu człowieka!"

Blondel odwrócił się i jednym skokiem dopadł do kijów bilardowych i chwycił jeden z nich.

— Oh, nie! Nie otwieraj pan, wyjąkał oberżysta. To znowu to samo, co z Lombardem i Camusem! W taki sam sposób zostali zamordowani. Nie otwieraj pan, bo zginiemy!

Oberżysta wykrztusił te słowa, trzęsąc się ze strachu tak okropnie, iż przejął wstrętem Blondela.

— Ach, cóż za tchórzostwo! Jedno z dwojga: albo mordują tę małą, albo drwią sobie z nas! Wreszcie, dodał wycierając gorączkowo pot z czoła — może to Hubert przychodzi się mścić! Ale do licha, przecież nas jest trzech! I pan masz rewolwer, ojcze Roubion.

— Nie otwieraj pan, nie otwieraj! — powtarzał Roubion.

Teraz zdawało się, iż Zoe kona za drzwiami, iż wydaje ostatnie tchnienie.

— W każdym razie trzeba się dowiedzieć, co to jest, protestował Blondel, uzbrojony w kij bilardowy.

Następnie zapytał silnym głosem:

— Kto tam? Kto jęczy? Czy to ty, Zoe?

Usłyszał jednak w odpowiedzi tylko rzężenie. Raptownie odsunął zasuwę i obrócił klucz w drzwiach:

— Gdzież są ci bandyci? — krzyknął.

Wysunął głowę, a wreszcie stanął na progu ze swym kijem bilardowym.

Róg ulicy był jasno oświetlony latarnią. Mimo to Blondel nic nie zauważył, jęki zaś ucichły. Przywołał znakiem Patryka i oberżystę. Zbliżyli się zwalczając strach, którego się obecnie wstydzili.

W głębi duszy wstydzili się swego tchórzostwa. — Blondel miał racyę: było ich trzech; prócz tego w oberży było pełno podróżnych, którzy zbiegliby się na pierwsze zawołanie — przynajmniej można było się tego spodziewać.

— Czy widzicie panowie cokolwiek? — zapytał komiwojażer. — Co do mnie, nie widzę nic.

— Nic! Nic nie widać! Nic niema.

— Zaczekajcie chwilę, dojdę do rogu ulicy!

— Panie Blondel, proszę tego nie robić!

Ale tamten był już na ulicy. Prześlizgnął się cicho swemi bosemi nogami aż do rogu uliczki, zajrzał, nie zapuszczając się w nią, nadsłuchiwał przez chwilę, wreszcie wrócił i udał się w drugą stronę na róg placu Merostwa.

Światło gazowej latarni poruszało olbrzymim cieniem Blondela uzbrojonego wciąż w kij bilardowy. Cisza, niezrozumiała po tylko co słyszanych jękach, ciążyła nad wsią i to wydawało się Patrykowi straszniejszem, niż same jęki. Musiano je słyszeć w sąsiednich domach, lecz się tam nikt nie poruszył. Przestrach, który wszechwładnie panował w Saint Martin des Bois, nie pozwalał doszukiwać się przyczyn nocnych hałasów. I na ulicach wsi księżyc mógł wodzić tańczące cienie trzech braci, albo wydłużać kształty mniej straszne, lecz niemniej tajemnicze, jak naprzykład odbicie kominów, przerażające swą dziwacznością. Nikt się nie oczywiście nie interesował. Nie, o nie! nie było ciekawych w nocy w Saint-Martin-des Bois!...

Drzwi oberży zamknięto. Jednocześnie pani Roubion, bardziej martwa niż żywa, przyjączyła się do męża. I ona słyszała hałasy, lecz nie przeszło jej

przez myśl nawet, żeby Roubion mógł pozwolić na otworzenie drzwi. Zabrała męża ze sobą, popychając go na schodach pięścią i unosząc klucz od drzwi wchodowych, żeby mieć pewność, że się ich więcej otwierać nie będzie.

Gdy kroki ich ucichły, Blondel zwrócił się do Patryka. który nie wiedział, co ze sobą zrobić.

— Mój panie, jest pan zanadto wrażliwy, by módz tu nocować. Mnie, widzi pan, te historye tylko śmieszą. Można odkryć i dowiedzieć się o wielu rzeczach. skoro się już raz wie, do czego są zdolni bracia Vautrin. Widziałem ich przy robocie podczas ostatnich wyborów. Trzeba ich tylko znać. Jeżeli chcą mnie zaczepić, niech tu przyjdą! Będę tu spał na bilardzie zamiast pana! Czekam na nich!

Patryk, nieco zawstydzony odrzekł:

— Możeby było lepiej, gdybyśmy wcale nie spali!

Lecz tamten jeż zebrał pościel Patryka i przeniosił ją do izby stołowej. Po chwili wrócił ze swemi rzeczami, które rzucił na bilard.

Patryk pozwolił mu to robić, zadowolony, iż mógł się oddalić od ulicy i od tych drzwi, za któremi jeszcze jakby się coś chwilami poruszało.

Wypili jeszcze po kubku ciepłego wina i uścisnęli sobie dłonie, życząc dobrej nocy. Patryk chciał się tłomaczyć, nie znojdował jednak słów, a bał się uchodzić za tchórza. Ale Blondel przerwał mu:

— Idź pan! Idź pan już! Niema o czem mówić. — Następnie Blondel wdrapał się na bilard, mrucząc:

— Oto jak wychowują teraz chłopców: robią z nich dziewczęta.

Leżąc zapalił papierosa i puszczał dym w sufit. Przez okienko w ścianie Patryk widział go doskonale. Praktykant notaryalny ułożył się w taki sposób, iż głowa jego znajdowała się na poziomie głowy Blondela. I nagle Patryk zobaczył coś, co go przejęło tak potwornym strachem, że włosy zjeżyły mu się na głowie.

On poprostu widział tylko twarz Blondela — ale jakiż wyraz miała ta twarz! Nigdy najstraszniejsze przerażenie nie odbiło się na twarzy ludzkiej w sposób bardziej wstrząsający. Z oczami wysadzonemi z orbit, z ustami rozwartemi a niezdolnemi do wydania dźwięku, z twarzą konwulsyjnie skrzywioną, Blondel leżał bez ruchu, wpatrując się w sufit.

Patryk nie mógł widzieć tego, co dojrzał Blondel i chociaż był bardzo wystraszony, przerażenie jego jednak było tylko odbiciem lęku tamtego. Spróbował poruszyć się, żeby wstać. Miał jeszcze dosyć niezbędnej siły i odwagi. Musiało się tam u sufitu dziać coś okropnego, a jego własne bezpieczeństwo nakazywało mu leżeć bez ruchu.

Czy to poruszenie zostało dostrzeżone, czy też chciano jego obezwładnić przestrachem, dość, że od sufitu z drugiego pokoju doleciał go głos wymawiający chrapliwie jego imię:... tak... tak... bez wątpienia... słyszał wyraźnie: „Patryk!"... Brzmiało to jak straszny rozkaz, jak groźba, która go przygwoździła do miejsca!...

Więc już nie ruszał się i tylko przerażonym wzrokiem wpatrywał się w okienko, przez które widniała wystraszona i jakby zahypnotyzowana twarz Blondela. I nagle młodzieniec ujrzał przez okienko... spuszczające się od sufitu, którego stąd nie widział... ujrzał dwie ręce zaciśnięte pod mankietami, które w półcieniu wyglądały jak dwie białe plamy. Te dwie ręce straszliwe spadły na Blondela, schwyciły go za gardło i uniosły się w górę wraz z tem uwięzionem gardłem. Blondel nie zdążył nawet westchnąć! Głowa zwisła mu, ta głowa, której wysadzonych z orbit oczu nie miał Patryk nigdy zapomnieć.

Uniesione przez mordercze ręce głowa i górna część ciała znikły w okienku, następnie zaś i nogi podniosły sie z bilardu, zawisły równolegle w powietrzu, a w końcu i one znikły.

Okropność!... Okropność!... Ah, krzyknąć!... krzyknąć!...

Patryk nie jest w stanie... nie może... boi się... zanadto się boi! Tak! jest tchórzem!... Ah! poruszyć się!... biedz!... uciekać... Nogi Patryka są jakby z ołowiu. Wreszcie zdołał wyciągnąć z łóżka... lecz cóż pocznie z jedną nogą? A czuje dobrze, że nigdy nie będzie miał tyle siły, aby wyciągnąć drugą. Ah, gdybyż mógł to zrobić... i uciec... uciec na tych ołowianych nogach!

Lecz oto znowu... stamtąd od sufitu... dolatuje go chrapliwem oddech i słyszy wymówione z szyderstwem swe imię: „Patryk!"

Od razu druga odzyskuje władzę i oto obie są już na podłodze, lecz nie może ich oderwać od posłania... Tak, jego imię, wymówione tam w górze, nie daje mu się ruszyć z miejsca... Dlaczego wymówiono jego imię?

Człowiek ze sufitu wie napewno... napewno, że on „Patryk" jest tutaj; dlatego woła go po imieniu i z litości ostrzega go, aby się nie ruszał...

A więc nie będzie się ruszał... Jest posłuszny...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Cyfry zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Początkowe i końcowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nam nazwisko polskiego poety i tytuł jego dzieła.

1	2	13	8	8
2	9	10	11	2
3	2	12	13	14
4	3	15	5	11
5	10	14	2	16
6	11	5	4	
4	9	8	18	10
1	3	10	1	5
5	19	8	11	20

Znaczenie wyrazów: 1. Znany przemysłowiec niemiecki. 2. Przyrząd sportowy. 3. Jarzyna. 4. Przyrząd służący do lokomocyi. 5. Część każdego budynku (odwrotnie). 6. Część każdego budynku (odwrotnie). 7 Stacya kolejowa obok Kołomyi. 8. Znane ptaki. 9. Tyle, co siła.

Szarada.

Ułożył Staker, Kraków.

O! gdybym *drugie* miał *pierwsze* tysięcy,
Szedłbym na *trzecie z kreską,* nigdzie więcej,
Zabrałbym *czwarte,* jeśli będzie zima!..
Całość, poświęcił życie dla idei,
Pełen zapału, nie tracąc nadziei,
Niestety, już go między nami niema!...

Bilet wizytowy.

Ułożył J. Żugaj. Wilamowice.

Z liter tej karty ułożyć zatrudnienie tego jegomościa.

Erazm Wękicki

Szarada.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

Pierwsza zgłoska, to litera,
Z abecadła wprost spoziera,
Druga zaś wspak i wprost wzięta
Popularna u nas święta.
Trzecia wspak, to nasza rzeka,
Płynie sobie od wiek wieka.
Pierwszą z trzecią wspak mawiali
Dawni ludzie, tem witali.
Całość owoc zachwalany,
Przez bogatych dobrze znany.

Łamigłówka.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z każdego z poniżej umieszczonych wyrazów wyjąć trzy razy po jednej głosce, idąc za każdym razem z góry na dół i utworzyć z nich znane polskie przysłowie.

Kitajką
Antoni
Obijał
Różne
Graty
Ładne
Roman
Wujek
Psuje

Zadanie rachunkowe.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Podane cyfry tak poprzestawiać, aby suma rzędów pionowych, poziomych i wzdłuż obu przekątni dała sumę 28

1	2	3	4	5	6	7
1	2	3	4	5	6	7
1	2	3	4	5	6	7
1	2	3	4	5	6	7
1	2	3	4	5	6	7
1	2	3	4	5	6	7
1	2	3	4	5	6	7

Przysłowiówka.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

Podane wyrazy uporządkować w ten sposób, aby ich początkowe i końcowe litery utworzyły jedno i to samo polskie przysłowie:

Orinoko, Andaluzya, Reaumur, Eunice, Inni, Chłopiec. Horoch, Agawa, Indusi, Chłodziec, Wpływ, Drozd, Zez, Bób, Głóg, Rektor, Elegie, Idzi, Wiesław.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
O Adela Z.! Komu że ja Moryc wykradł co?

Łamigłówka.

Ułożył A. Piekło, Podgórze.

Początkowe litery należycie uzupełnionych wyrazów podadzą nam nazwę jednego z niedawnych wypadków politycznych.

— ych
— tom
— abu
— rka
— uta
— ram
— bol
— uza
— men
— aki
— koń
— ret
— awa
— mar

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Zygmunta Niedźwieckiego:* **Czarna pantera.** Fraszki.

Ustalona sława ulepszonych gramofonów



z marką ochronną „Aniołek piszący", jakoteż płyt, przekonała wszystkich odwiedzających mój skład, że jakość tych gramofonów, przez czystą, naturalną i bez szmeru oddawaną reprodukcyę, przewyższa wszelkie wyroby imitacyjne. Proszę się o tem przekonać, chętnie zademonstruję — bez przymusu kupna — a każdy odniesie przekonanie, że nie ma milszej rozrywki w domu, uspakajającej nerwy po całodziennej pracy, jak produkcya gramofonu aniołkowego, który z płytami **najnowszych** zdjęć pierwszorzędnych sił artystycznych otrzymać można jedynie u firmy

Józef Weksler

Lwów ul. Sykstuska 2. Telefon Nr. 1560.

Kraków ul. Floryańska 25. Filia Grodzka 71, tel. 1241

Cenniki darmo i opłatnie.

Ulgi w spłatach ratalnych!

Gramofon koncertowy z 5 podwójnemi płytami, tj. 10 zdjęć kosztuje **50 K**

20.000 płyt zawsze na składzie.



Wszelkie płyty, prócz Zono i marki „Aniołek piszący" **kosztują 2 kor.**

Lalki nasze w krakowskich strojach są najbardziej wzięte. Najodpowiedniejszy prezent dla dzieci zagranicą.



Stale na składzie od 90 hal. do 30 kor. — Cenniki wysyła na żądanie.

Pierwsza krak. fabryka lalek Kraków, Wolska L. 1
wysyła odwrotnie każde zamówienie.

Tanie pierze i puch

1 klg. szarego dartego K 2·—, **lepszego** K 2·40, półbiałego I-a 2·80, białego K 4·—, I-a miękk. jak puch K 6·—, **najlepszego I-a** K 7·—, 8·— i 9·60. **Puch** szary K 6·— i 7·—, biały I-a K 10·—. **Puch** z piersi K 12·— od 5 klg. począwszy franko.

GOTOWA POSCIEL

z gęstego, czerwonego, niebiesk. lub białego poszwu, **1 pierzyna** około 180 cm. gług. 120 cm szer. wraz z 2 poduszkami, każda około 80 cm. dług. 60 cm. szer. dostatecznie napełniona, nowem szarem, puszystem i trwałem pierzem K 16·—, półpuchem K 20·—, puchem K 24·—. **Pojedyncze pierzyny** K 10·—, 12·—, 14·— i 16·—. **Pojedyncze poduszki** K 3·—, 3·50 i 4·—. **Pierzyny** wielk. 200×140 cm. K 13·—, 15·—, 18· i 20·—. **Poduszki** wielk. 90×70 cm. K 4·50, 5·—, 5·50. Prześcieradła z najl. płótna gradlowego wielk. 180×116 cm. K 13·— i 15·— przesyła za pobraniem lub za poprzedniem nadesłaniem gotówki.

Max Berger, Deschenitz Nr. 406 a, Böhmerwald.

Bez ryzyka, ponieważ wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy Bogato illustr. cenniki wszelkiej pościeli darmo.

Pierwszorzędny specyalny dom gorsetów w Monarchii!



Czy Gorset 5 10 lub 50 Kor. kosztuje, jest każdy dla siebie **prawdziwem arcydziełem nowoczesnej sztuki mego bezkonkurencyjnego kroju**

ATELIER

Specyalista Gorsetów

HERMAN PIESEN

KRAKOW ul. Grodzka L. 4.

FILIE:

Wiedeń VI, Mariahilferstr. [illegible] Nr. telefonu 2137.

Lwów: ul. Jagiellońska L. 5, i ul. Halicka L. 13.

GORSETY

na miarę wykonywuje się ściśle według budowy ciała.

Proszę żądać nowego **luksusowego katalogu** gratis i franko.

Dobra harmonijka K. 4·40.

Wolne od cła! **150 000 sztuk sprzedanych.** Bez ryzyka!

Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy

Nr. 300 3 4:	10 klaw.,	2 rej.	28 głosów,	wielk. 24×12 cm.	K. 4·40.
Nr. 654 3 4:	8 „	1 „	24 „	„ 28×14 „	„ 4·80.
Nr. 656 3 4:	10 „	2 „	28 „	„ 30×15 „	„ 5·40.
Nr. 305 3 4:	10 „	2 „	50 „	„ 24×12 „	„ 6.—.
Nr. 663 1 4:	10 „	2 „	50 „	„ 31×15 „	„ 8·—.

Samouczek do każdej harmonijki za darmo.



Wysyła wprost do osób prywatnych za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez znaną ze swej rzetelności światową firmę c. i k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD

dom wysyłkowy towarów muzycznych w Brüx, Nr. 2915 (Czechy).

Zażądaj Pan mego bogato illustr. katalogu głównego z 4000 rycin.

Bezpłatnie



wysyłam każdemu na żądanie swój **główny obficie ilustr. katalog z 4000 odbitek,** mocnych, dobrych, a tanich zegarów.

Pierwsza fabryka zegark.

Hanns Konrad

c. i k nadw. dost. **w Brüx Nr. 2903** Czechy).

Niklowy zegarek remont. K 5·—
Prawdziwy srebrny zegarek **Kor. 8·40.**



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincji.

FAVORIT żurnal sezonowy na jesień i zimę 1911/12

Nowość! wydanie z polskiem objaśnieniem mód cena 1 K 20 h, z przesyłką 1 K 60 h, za zaliczką 1 K 85 h poleca skład żurnali i gotowych krojów. Nowość!

M. Landau, Kraków

ul. św. Krzyża 5.

Prosimy żądać tylko z polskim objaśnieniem.

PIĘKNY, PEŁNY, BIUST!



Na **BIUST** krem „Amorlin" Dra Lassinga, zupełnie wypróbowany i uznany środek do osiągnięcia pełnego i pięknego biustu. Trwały, pewny skutek. „Amorlin" jest kilkakrotnie premiowany, ponadto przeglądnąć można u nas bardzo wiele pism uznania. — Za nieszkodliwość „Amorlinu" gwarantujemy. Do używania tylko zewnętrznie, i w każdym wieku. Cena słoika ze sposobem użycia K. 4·—. Podwójny słoik z przynależnym do tego 1 kawałkiem mydła, wystarczający do osiągnięcia skutku K. 7·—. Wysyłka dyskretna, za zaliczką lub w markach.

Frau. J. Frisch, Wien VIII. Tigergasse 38 V.

MAGAZYN Z OBUWIEM

Feliksa Łodzińskiego

2 Kraków, Szewska 2

poleca w najlepszym wyborze obuwia męskie, damskie i dziecinne.



Ceny przystępne!

Tanie czeskie pierze!



1 kg. szarego, dartego K 2·—, lepszego K 2.40, półbiałego K 3·60, białego K·420, I-a miękkiego jak puch K 6·—, najlepszego I-a K 7·20, najlepszego gatunku K 8·40. Puch szary K 6·—, biały K 12·—, najlepszy biały puch z piersi K 14·40. Przy odbiorze od 5 kg. przesyłka franko. Gotowa pościel z gęstego czerwonego inletu, 1 pierzyna albo piernat 180×116 cm. szer. à K 10·—, 12·—, 15·—, 18.—, 21·— 200×140 cm szer. a K 13·—, 15·—, 18·—, 21·—, 1 poduszka 80×58 cm szer. a K 3·—, 3·50, 4·— 90×70 cm a K 4·50, 5·50, 6·—, Wysyłk franko przy zaliczce od K 10·—, wzwyż. Zamiana dozwolona za nienadające się zwrot pieniędzy. Próbki i cenniki darmo.

Artur Wollner Lobes Nr. 265 koło Pilzna (Czechy).

ZAKŁAD WODOLECZNICZY

Dra Chramca w Zakopanem

otwarty cały rok.

Nowo wybudowane pawilony urządzone z największym komfortem. — Umieszczenie dla 300 osób. — Pokoje jednoosobowe z utrzymaniem od 8 Kor. wzwyż.

PIERWSZORZĘDNA CUKIERNIA w Krakowie w Sukiennicach

J. Noworolskiego i Ski

przedtem

Rehman i Hendrich.

Po gruntownem przerobieniu i powiększeniu lokalu w stylu nowoczesnym **została otwarta** dla P. T. Publiczności.

TOWAR DOBOROWY.

= Na sezon = jesienny i zimowy

POLECA

„SZATNIA" spółka z ogran. odpow. w Krakowie, ul. Sławkowska 14

obficie zaopatrzony magazyn w wszelkiego rodzaju ubrania męskie oraz uniformy dla P. T. Studentów.

Ceny nader niskie. **Materyał doborowy**

Specyalność firmy ubrania sportowe.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.